NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 494·— Marek, Półrocznie 998·— Mk. Rocznie 19̄6·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonparellowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 40 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 3 września 1921. Nr. 36.

Tragedya dwojga serc

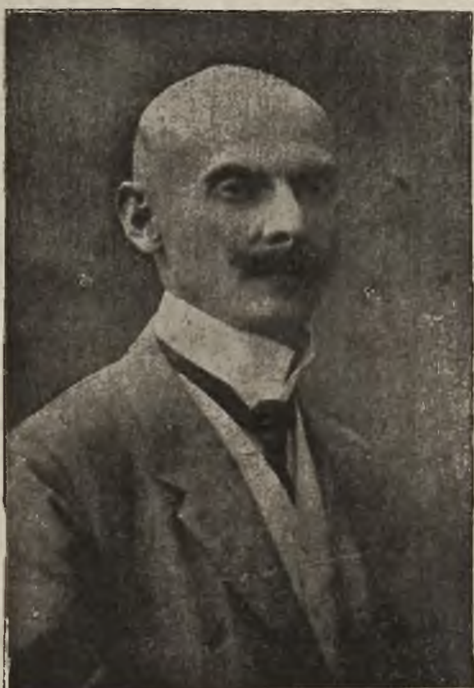


Sierżant Steiner mści się przy użyciu granatu ręcznego na swej kochance.

Tragedya dwojga serc

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna światowa wywarła swój wpływ na wszystkie przejawy naszego życia, zmieniając zupełnie dawny jego tryb. To, co dawniej należało do wypadków bardzo rzadkich, dziś stało się niemal chlebem powszednim, ludzie żyją nerwami, nie zdając sobie z tego sprawy, że czyny ich sprzeciwiają się prawom tak Boskim, jak i ludzkim. Wywrzeć na kimś swą zemstę przy pomocy kuli rewolwerowej lub spopularyzowanego dzięki wojnie ręcznego granatu, to dziś coś tak zwykłego i powszedniego, jak dawniej spór słowny.



Kierownicy krakowskiego Starostwa: Radca Namiestnictwa, dr. Adam Bal z Choczwi, starosta krakowski.

Życie rodzinne rozluźniło się w niesłychany sposób, na tem tle przychodzi też bardzo często do zajść z mniej lub więcej tragicznym przebiegiem. Ale i one tłómaczy sobie świat jako następstwa wojny i zbytniej do nich nie przywiązuje wagi. Dramaty małżeńskie tak dziś spowszedniały, iż nie budzą ani setnej części tego wrażenia, co przed wojną, a spotykamy się z nimi nawet w tych sferach, w których dawniej były nadzwyczajną rzadkością.

Zbałamucić komuś żonę, a potem ją samą lub jej męża pozbawić życia, to zdarzenie dziś aż nazbyt częste.

Widownią podobnego wypadku były w ubiegłym tygodniu ciche i spokojne Krzeszowice. Kochanek morduje swą ubóstwianą, żonę innego, uniesiony zazdrością, iż nie podzielała jego uczuć.

W Krzeszowicach w rynku mieści się restauracya niejakiego Oświęcimskiego, o którego żony, pięknej Broni, względy ubiegało się dwu rywali, wachmistrz żandarmeryi Jaśko i sierżant stacyonowanej tamże brygady kawaleryi, Steiner. Bronia sprzyjała widocznie wachmistrzowi, co jego rywala doprowadzało do rozpaczy. Z tego powodu czynił Steiner Broni często wyrzuty, ale to nic nie pomagało.

Dzień 24 sierpnia b. r. stał się tragicznym dla pięknej Broni i jej zawiedzionego w uczuciach kochanka. W dniu tym wybrała się ona z wachmistrzem Jaśką na przechadzkę do lasu. Podpatrzył to Steiner, a wiedziony zazdrością, poprzysiągł obojgu krwawą zemstę. Uzbrojony w rewolwer, podążył do lasu za czułą parą i tutaj oddał do niej szereg strzałów, które jednak chybiły. Bronia i Jaśko powrócili bez szwanku do miasta, Steiner nie zaniechał przecież dalszej zemsty, bo, uzbrojony w granaty ręczne, zjawił się wieczorem w restauracyi Oświęcimskiego i przystąpiwszy do lady szynkowej, za którą znajdowała się Bronia, zamieniwszy z nią kilka słów, rzucił w jej stronę granat ręczny, który eksplodował. Skutki wybuchu były straszne. Dwa ciała runęły na ziemię, Steiner padł trupem na miejscu, śmiertelnie raniona Bronia wiła się w kurczach w kałuży własnej krwi. Lada szynkowa i ściany uległy zniszczeniu, pokrywając się krwią i kawałkami ciała nieszczęśliwych ofiar występnej miłości. Walczącą ze śmiercią ofiarę zawiedzionego kochanka w stanie beznadziejnym odstawiono do szpitala.

Kierownicy krakowskiego Starostwa.

Nowy podział administracyjny naszego kraju na województwa wchodzi w życie z dniem 1. września b. r. O ile województwo przejmuje na siebie dawne agendy Namiestnictwa i Wydziału Krajowego, o tyle podlegające mu niższe instancye polityczne, to jest starostwa, zachowują prawie niezmieniony zakres swego dotychczasowego działania. Pierwszą zatem instancyą w naszej administracyi politycznej pozostaje i nadal starostwo i z niem w bezpośredni kontakt wchodzić muszą wszyscy interesowani.

W życiu naszem społecznem odgrywać zatem musi starostwo z natury rzeczy rolę pierwszorzędną, reprezentując w powiecie rząd krajowy i pośrednicząc między nim a stronami interesowanemi. Zakres działania starostwa jest nadzwyczaj rozległy, oprócz bowiem sądownictwa, obejmuje wszystkie działy administracyi państwowej.

Aby starostwo spełniało należycie swe posłannictwo, zależy od tego wiele, kto niem kieruje i jakich ma współpracowników, jeśli bowiem na tem stanowisku znajduje się bezduszny biurokrata, placówkę tę uważać należy za straconą, gdy natomiast urzędnicy, umiejący pogodzić spełnianie swych trudnych obowiązków z poczuciem prawdziwie obywatelskiem, przyczyniają się do tego, aby między władzami państwowemi a ludnością wytworzyć harmonijne współżycie, co obydwom stronom wyjść musi tylko na pożytek. Ludność nabiera wówczas zaufania do urzędników, a tem samem i całego organizmu państwowego, który reprezentują, śpieszy do nich z zaufaniem, wiedząc o tem, że spotka się ze skuteczną radą i pomocą, a nie bezmyślnemi szykanami. Przy obsadzaniu zatem tak ważnych i odpowiedzialnych posterunków, jak kierownictwo starostw, Rząd centralny powinien baczną uwagę zwracać na dobór osób.



Kierownicy krakowskiego Starostwa: Radca Namiestnictwa, Maryan Jagusiński zast. starosty krakowskiego.

I znów powtórzyć musimy prawie dosłownie to samo, co wyraziliśmy w poprzednim tygodniu przy omawianiu obsadzenia stanowiska krakowskiego wojewody i jego zastępcy, że Rząd miał i w tym wypadku nadzwyczaj szczęśliwą rękę, tak bowiem nowomianowany krakowski Starosta, jak i jego zastępca, to również osobistości znane szeroko ze swej dotychczasowej nadzwyczaj owocnej działalności. Interes urzędu, jaki sprawują, idzie u nich w parze z interesem ogółu, a następstwem tego jest budzenie coraz większego zaufania do młodej administracyi państwowej i jej przedstawicieli.

Nowy kierownik krakowskiego Starostwa, dr.



Rozbicie się układów angielsko-irlandzkich: Tłumy publiczności, przybyłe na dworzec londyński celem powitania prezydenta de Valery.

Adam Bal z Choczwi, radca Namiestnictwa, urodzony w roku 1867 w Nowosiółkach Baligrodzkich, studya gimnazyalne i prawnicze odbył w Krakowie, poczem, poświęciwszy się służbie administracyjno-politycznej, po odbyciu praktyki w lwowskiem Namiestnictwie pełnił kolejno obowiązki w Starostwie w Jaśle i Krośnie. Jako Starosta w Lisku i Łańcucie, zyskał sobie ogólną sympatyę i uznanie, żegnano go też z niekłamanym żalem, gdy w roku 1919 powołany został do Polskiej Komisyi Likwidacyjnej w Krakowie. I tutaj zapisał się bardzo dodatnio, jak niemniej i na następnie zajmowanych stanowiskach, to jest w Prezydyum lwowskiej Jeneralnej Delegatury Rządu, oraz jako inspektor aprowizacyi w Krakowie, reprezentant Rządu przy D. O. G. Kraków, ostatnio zaś inspektor objazdowy starostw. Stosunki, zwłaszcza zachodniej Małopolski, zna gruntownie, obowiązki swe spełniał zawsze sumiennie i gorliwie, powiat krakowski zyskuje w nim zatem kierownika, który wstąpi godnie w ślady swych poprzedników, kontynuując rozpoczętą przez nich budowę naszego organizmu państwowego.

Dziś, jako kierownik krakowskiego Starostwa, wraca dziwnym zbiegiem losu na swe trudne i odpowiedzialne stanowisko do pałacu Puszeta, w którym spędził jasne i niefrasobliwe dni swej młodości.

Obowiązki zastępcy kierownika krakowskiego Starostwa obejmuje równocześnie powszechnie szanowany i ceniony w szerokich kołach radca Namiestnictwa, Maryan Jagusiński. Wychowanek lwowskiego Uniwersytetu, karyerę swą urzędniczą rozpoczął w Starostwie w Myślenicach, skąd przeniesiony na Wschód, pracował bardzo wydatnie, tak dla swego urzędu, jak i dla idei polskości, której był zawsze nieustraszonym szermierzem w Starostwach w Trembowli, Husiatynie, Kałuszu i Stryju. Stąd przeniesiony do Namiestnictwa we Lwowie, objął tam referat wodny i sanitarny. Losy wojny rzuciły go z powrotem do Myślenic, skąd w roku 1916 przybył do Krakowa i losy swoje odtąd związał z tem miastem, do którego tęsknił całe życie. W Krakowie prowadził Komisyę zasiłkową, zajmował się prowadzeniem bonów na rozdział żywności dla najuboższych, rozdziałem zapomóg dla poszkodowanych przez wojnę, oraz odbudową zburzonych dokoła Krakowa osiedli. Na tych trudnych i odpowiedzialnych stanowiskach rozwinął radca Jagusiński obfitą w skutki prawdziwie obywatelską działalność, która mu zjednała głęboką wdzięczność ludności, dotkniętej wypadkami wojennymi. Obowiązki swe pojmował zawsze seryo, ale prawdziwie po obywatelsku, spiesząc chętnie każdemu potrzebującemu ze skuteczną radą i pomocą. Obecnie jest delegowany ponadto z ramienia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do II. instancyi, to jest do Okręgowej Komisyi świadczeń wojennych, oraz do II. instancyi w D. O. G. Kraków w sprawach świadczeń wojskowego i reklamacyi.

Uczynność radcy Jagusińskiego, jego sumienność i gorliwość w urzędowaniu, oto cnoty, które zjednały mu uznanie władz przełożonych i zaufanie ludności, znajdującej w nim wytrwałego poplecznika swych słusznych interesów.



Rozbicie się układów angielsko-irlandzkich: Posiedzenie parlamentu półn. irlandzkiego w Ulsterze.



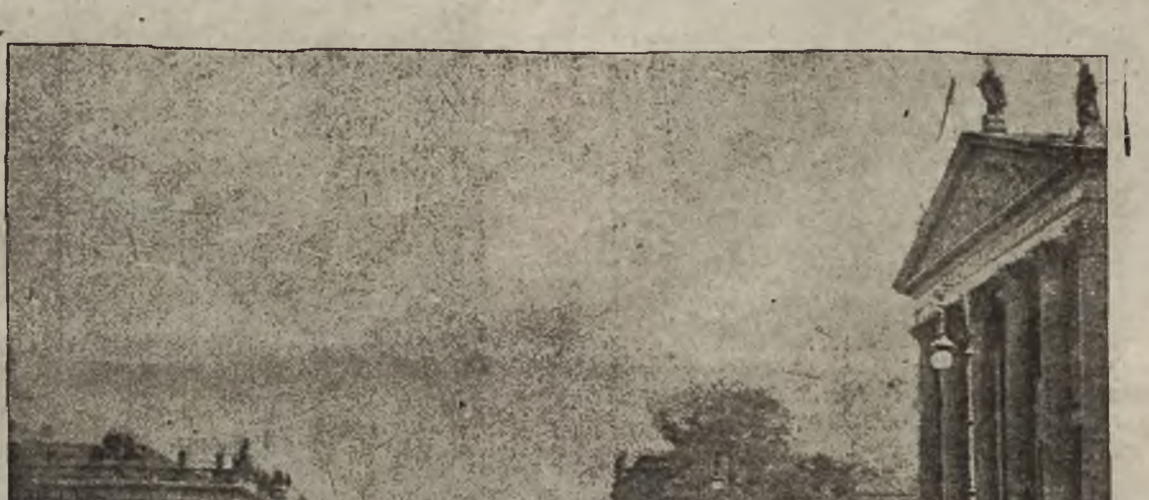
Nad grobem znakomitego artysty: S. p. Leonard Bończa-Stępiński, były artysta sceny krakowskiej.

Rozbicie się układów angielsko-irlandzkich.

Sprawa irlandzka weszła znowu w nową fazę, jakiej nikt nie przewidywał. Utrzymywano ogólnie, że rokowania nawiązane przez Lloyd'a George'a z przywódcą sinfeinistów de Valerą, doprowadzą do pomyślnego rozwiązania tej tak piekącej kwestyi, stało się jednak inaczej. Ustępstwa, poczynione przez Anglię na rzecz Irlandyi, to jest nadanie jej praw, jakiemi się cieszą wielkobrytyjskie dominia z zachowaniem jedynie jednolitości armii i floty, nie zostały przez Irlandczyków przyjęte. Domagają się oni zupełnej niezależności, nazywanej przez nich „przyjazną, ale całkowitą seperacyą", a na to nie godzi się rząd angielski.

I znów kwestya irlandzka stała się dla Anglii dotkliwą bolączką i to tem bardziej dającą się we znaki, że równocześnie grozi jej w Indyach bardzo poważne niebezpieczeństwo. Prasa angielska zapatruje się bardzo pesymistycznie na sytuacyę i jest zdania, że w najbliższym czasie doprowadzić musi do przesilenia gabinetowego.

Korespondencya, przeprowadzona w tej sprawie między Lloyd'em George'em a de Valerą, opublikowana przez pisma angielskie, wykazała zasadniczą różnicę między żądaniami większości narodu irlandzkiego, a zamiarami rządu angielskiego, ostatni list przywódcy sinfeinistów do angielskiego premiera zburzył doszczętnie cały gmach nadziei pomyślnego zakończenia tej niemiłej sprawy. Początkowa zgoda Irlandczyków na propozycye angielskie była tylko pozorną, tak ją bowiem przedstawiła



Druga rocznica ogłoszenia niemieckiej konstytucyi: Przed budynkiem berlińskiej Opery podczas uroczystego zebrania.

londyńska prasa, w której to widocznie leżało interesie. Obecnie okazuje się, że de Valera trwa niezłomnie imieniem swego narodu przy żądaniu najzupełniejszej samodzielności bez żadnych zastrzeżeń, oporu jego nie zdołały przełamać starania jenerała



Druga rocznica ogłoszenia niemieckiej konstytucyi: Prezydent republiki Ebert i kanclerz Wirth podczas przeglądu wojsk.

Smuts'a, prezydenta Południowej Afryki, który w tej sprawie usiłował pośredniczyć między obiema stronami. Hymny pochwalne na cześć politycznego zwycięstwa Lloyd'a George'a były zatem conajmniej przedwczesne, pokazuje się, że kwestya irlandzka to orzech trudny do zgryzienia, na co za słabe są nawet zęby angielskiego prezydenta gabinetu.

„Times" pisze o tem:

„Jeżeli odmowa p. de Valery ma być naprawdę ostatniem słowem Sinn Fein'u, tedy trudno jest znaleść sposób, w jakiby dało się usunąć wyrosłe przeszkody". Ton poważnego dziennika jest bardzo



Z żałobnej kroniki: S. p. Seweryn Böhm, były wiceprezes i długoletni sekretarz krak. Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych.

umiarkowany i nastrojony dosyć ugodowo, mimo, iż poddaje krytyce metody przywódców Sinn-Fein'u, jako rozmijające się z celem osiągnięcia istotnego pokoju. „P. de Valera — mówi „Times" — może sobie prezentować czyny i intencye rządu, jak mu się to podoba, ale długo nie będzie mógł uchylać się od pewnych skutków woli wykazanej przez Anglię na drodze do osiągnięcia zgody z Irlandyą".

Mowa, jaką wygłosił p. Lloyd George w Izbie Gmin w d. 19 b. m., była zaledwie zręcznem maskowaniem niefortunnego wyniku rokowań z rewolucyonistami irlandzkimi i do pewnego stopnia obroną własnego w tej sprawie stanowiska. W opinii angielskiej zatarg irlandzki wywołuje poważny niepokój. „Morning Post" przewiduje z tego powodu przesilenie parlamentarne.

Nad grobem znakomitego artysty.

(Do illustracyi na str. 3).

W ubiegłym tygodniu nadeszła do Krakowa żałobna wieść o przedwczesnym zgonie jednego z najznakomitszych artystów dramatycznych polskich, śp. Leonarda Bończy-Stępińskiego. Padł ofiarą czerwonki, której nabawił się w Truskawcu, gdzie, korzystając z wakacyjnego urlopu, szukał poratowania zdrowia. Przewieziony do Drohobycza, zmarł w tamtejszym szpitalu, w sile wieku, licząc zaledwie czterdzieści pięć lat życia.

Nazwisko Bończy związane jest ściśle z dziejami krakowskiej sceny im. Słowackiego, na której spędził szereg lat, stanowiąc prawdziwą jej ozdobę i chlubę. Gdy przed dwoma laty opuszczał nasze miasto, szukając szerszych horyzontów dla swego potężnego talentu, zazdroszczono ogólnie Warszawie, iż udało się jej uzyskać tak wybitną siłę, ale nie tracono nadziei, że wróci jeszcze między nas, gdzie potrafił sobie zdobyć tyle sympatyi i uznania. S. p. Bończa był ulubieńcem teatralnej publiczności i to tak tej, dla której sztuka stanowi nieodzowny warunek życia duchowego, jak i tych, którzy w teatrze szukają tylko chwilowej rozrywki. Fachowa krytyka zaliczyła Bończę między gwiazdy sceniczne pierwszego rzędu, a każda nowa jego rola stwierdzała, że mu się to słusznie należy. W każdą z nich potrafił się wżyć całą duszą, opracowywał ją dokładnie w najdrobniejszych szczegółach, tworząc w ten sposób z niepozornych nawet na oko prawdziwe arcydzieła sceniczne.

Z ś. p. Bończy mogła być dumna krakowska scena, na jej bowiem deskach skrystalizował się ten talent aktorski i tu rozbłysnął pierwszorzędnym blaskiem. Role charakterystyczne miały w nim genialnego odtwórcę, w niektórych z nich przeszedł nawet swych mistrzów, dając dowód do jak wspaniałych rezultatów doprowadzić może sumienna praca przy wrodzonej zdolności i wszechstronnem wykształceniu.

Pierwsze kroki stawiał ś. p. Bończa, lat temu mniej więcej dwadzieścia, na deskach teatru poznańskiego, w rok później widzimy go w Łodzi w zespole dyr. Zelwerowicza, gdzie już zbiera pierwsze tryumfy, zdobywając sobie ogólne uznanie rolą stolarza w „Upiorach" Ibsena. Stamtąd przenosi się do Krakowa, gdzie osiada na stałe, to jest aż do chwili



Zmiana tronu w Serbii: Ostatnie zdjęcie zmarłego króla Piotra z czasów, gdy z powodu wypadków wojennych zmuszony był opuścić swą ojczyznę.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

36 I.

Obserwowałem ją bacznie i zdawało mi się, że odnajduję w niej ten wpływ hypnotyczny, którego niekiedy doświadczał na niej Markus Henner. Marya nie umiała mi nigdy wytłumaczyć tajemnicy swojego podwójnego życia, ja zaś, żeby nie dręczyć zanadto jej sumienia, przejętego ideałem chrześcijańskiej wiary, nie śmiałem zgłębiać tej zagadki. Kiedy sprzątnięto ze stołu, Marya zażądała, ażebym usiadł przy niej. Wsparła wówczas głowę na mojem ramieniu i pozostała tak z rozwartemi oczami w głębokiem milczeniu.

Oh! Ranieri! Ranieri! jakąż nieskończoną radość poznałem w tej godzinie!

Żadna chwila najgwałtowniejszego szału nie dosięgła wartości tego łagodnego zbliżenia, tego spoczynku duchowego, tej ciszy pełnej myśli nabrzmiałych miłością. Czując, że jakaś boska godzina zawisła nad naszemi sercami, milczałem, aby nie spłoszyć uroku. Ona widocznie trwała także pod tem wrażeniem, bo kiedy dwukrotnie wymówiłem cicho jej imię, potrząsnęła tylko głową, nakazując mi milczenie. Trochę później wargi jej poruszyły się, lecz nie wymówiła ani słowa. Modliła się widocznie. Nie jestem ateuszem, należę tylko do obojętnych, ale ilekroć widziałem Maryę modlącą się, ogarniało mnie jakieś dziwne, niewytłumaczone wzruszenie. Chciałbym wówczas złożyć ręce do modlitwy, jak za dawnych, dziecinnych lat i szeptać modlitwy, nauczone przez matkę moją.

Tego wieczoru przyszedł Maryi kaprys oświetlenia wszystkich zakątków pokoju. Usiadła potem i podejrzliwem spojrzeniem spoglądała wokoło. Później jeszcze prosiła mnie, bym jej czytał wiersze Goethego, wiersze mało znane, w których mówi o śmierci i życiu pozagrobowem w sposób pogodny i przejmujący.

Podczas tego czytania wstrząs nerwowy, silniejszy od poprzednich, szarpnął jej ciałem, usta jej zadrżały konwulsyjnie i śmiertelna bladość pokryła jej twarz. Zapytałem ją serdecznie, co jej było, lecz spojrzała tylko na mnie wylęknionym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa. Czytałem więc dalej, spoglądając ukradkiem od czasu do czasu na nią, zaniepokojony silnie stanem jej podniecenia.

Nigdy nie byłbym w stanie domyślić się tego, co działo się przy mnie, poza moją świadomością. Nawet fantazya człowieka najbardziej szalonego, nie byłaby zdolna wymyślić coś podobnego. Dwa razy, podczas kiedy czytałem, trzymając rękę Maryi w swojej dłoni, wyczułem, jak ręka jej zadrżała nerwowo, jak gdyby poruszona ostrym prądem elektrycznym. Ale już nie pytałem się jej o nic, wiedząc, że jest jeszcze pod fatalnem wrażeniem snu nocnego i że jedynem lekarstwem na to jest starać się o przywrócenie spokoju duszy, w sposób stopniowy, bez zwrócenia jej uwagi.

Ale wkrótce musiałem odłożyć czytanie, uderzony szczególnym wyglądem mojej ukochanej Maryi. Straszne przerażnienie i niepokój ogarniały ją, obejmując całe ciało. Drżenia ostre przebiegały jej ramiona i ręce i wszystkie członki jej wykręcać się zaczęły, jak w napadzie ataku konwulsyi.

Po raz pierwszy widziałem u niej podobne objawy i nie wiedziałem, jak reagować na nie, aby jej przynieść choć trochę ulgi. Dawałem jej do wąchania octu tualetowy, rozcierałem nogi i ręce, lecz bez najmniejszego rezultatu.

Jakiś ból ukryty wstrząsał jej nerwami i widać było, jak walczyła mężnie z tym bólem, jak pragnęła zareagować na nie, lecz ból okazywał się silniejszym od jej woli. Miała oczy napół przymknięte i ręce zaciśnięte tak mocno, że aż paznogcie jej wrzynały się w ciało, lecz kiedy ją wołałem, otwierała oczy i wpatrywała się we mnie uporczywie wzrokiem pełnym miłości i prostoty. Dwa razy dobrowolnie wyciągnęła do mnie ramiona i przyciskała mnie do piersi z niebywałą siłą i wzruszeniem.

Niepokój mój wzrastał z każdą minutą. Co robić, żeby ją uspokoić? Godzina była już późna i zapewne wszyscy spoczywali już w Coves, zresztą lękałem się odejść od niej nawet na chwilę, by pójść zadzwonić na służącą, bo czułem, że kiedy ją wypuszczę z ramion, upadnie bezsilnie na podłogę w ataku konwulsyi.

Chwilami zdawała się uspakajać; oddech jej stawał się mniej dyszącym, powieki przymykały się zmęczone, a całe ciało wspierało się na mnie miękko, jak gdyby nagła potrzeba snu ogarniać ją zaczęła. Lecz zaraz silne wstrząśnięcie elektryzowało ją całą, z piersi jej wybiegał jęk stłumiony i konwulsye powracały znowu jeszcze silniejsze jak przedtem.

Udało mi się w pewnej chwili pociągnąć za sznurek od dzwonka i kazać pannie służącej, która weszła, obudzić służącego i wysłać go natychmiast do Coves po lekarza. Choroba, która tak nagle spadła na moją biedną Maryę, wydała mi się niebezpieczniejszą niż zwykłe konwulsye. Już teraz rozpacz ogarniała moją duszę, bo Marya na moje wołania nie odpowiadała wcale, nie słyszała mojego głosu, nie czuła gorących pocałunków, które składałem na jej pięknych włosach.

Co to było, mój Boże! któż ją w ten sposób oddalał odemnie? Co ją do takiego stanu nieprzytomności doprowadzić mogło? I jakież to było to zło nieznane i ukryte, które potrafiło do tego stopnia odebrać jej wszelką wrażliwość i czucie?

Jednakże dreszcze, które wstrząsały jej ciałem, zdawały się zanikać stopniowo. Nerwowe podrzuty stawały się mniej silne. Trzymałem ją w ramionach i czułem, jak napięcie nerwowe jej członków nikło potrosze i że sen ją ogarniać zaczynał. Czy to był naprawdę sen? W każdym razie sen bardzo dziwny i nienaturalny! Spoczywała teraz, trzymając głowę opartą na mojem ramieniu, lecz sen jej nie był w niczem podobnym do snu osoby zdrowej i normalnej. Wydawał się być raczej omdleniem. Puls jej ledwie drżał pod naciskiem moich palców, a serce jej, nad którem pochylałem się kilkakrotnie, biło nieregularnie i bardzo słabo. Z ust niedomkniętych wychodził oddech lekki bardzo, tak nieuchwytny i ledwie dostrzegalny, że ten symptomat przeraził mnie najwięcej. Temperatura jej nie była również normalna. Ręka jej była zimna i sztywna i kiedy ją uniosłem, opadła bezsilna i martwa na kołdrę. Nie wiedziałem już co robić, czy pozostawić ją w tym stanie odrętwienia.

W tymże czasie do pokoju weszła panna służąca i oznajmiła mi, że służący już powrócił z Coves i że lekarz nadejdzie wkrótce. Spał już, kiedy mój służący przyszedł po niego, ale obiecał niezwłocznie stawić się na moje żądanie. Szepnąłem pannie służącej, żeby wpuściła doktora do salonu, bo na razie Marya czuła się trochę lepiej.

— Ona śpi — wyrzekła panna służąca, przypatrując się jej ciekawie — ale mnie się zdaje, proszę pana, że to niedobry sen. Wygląda jak omdlenie. Lepiejby było starać się panią zbudzić.

Skinąłem tylko ręką, aby odeszła i natychmiast posłuchałem jej rady. Chwyciłem szybko flaszkę z amoniakiem i przyłożyłem do nozdrzy Maryi, sądząc, że ten ostry zapach zareaguje na jej odrętwienie. Ale i amoniak okazał się za słabym środkiem. Marya nie uczuła go nawet i leżała dalej, jak gdyby pogrążona w letargu. Tylko w jakiś czas później stało się z nią coś dziwnego i nieoczekiwanego.

Marya nagle przez sen swój letargiczny płakać zaczęła, nie dając jednak żadnego znaku życia. Oh! Ranieri, gdybyś Ty widział był te łzy! Z pod zamkniętych powiek z poza długiej, czarnej firanki rzęs spływały niewstrzymaną falą na twarz zimną jak marmur, rozlewając się po szyi, ręce, piersiach, gubiąc się w fałdach białej sukni. Był to płacz niemy, bez wstrząśnień i łkań, lecz tak obfity i długi, jak strumień niepowstrzymany niczem!

Ten płacz rozpaczliwy odebrał mi resztę przytomności umysłu. Rzuciłem się na nią jak szalony i całować bez końca zacząłem twarz jej, połykając jej łzy, starając się je osuszyć rozpalonemi wargami, starając się obudzić życie w tem ciele zimnem, jak ciało istoty umarłej. W największem napięciu niepokoju i rozpaczy nie zważałem już na jej sen i spoczynek! Ściskałem ją konwulsyjnie w ramionach, wołałem ją, mówiłem do niej, błagałem, by mnie wysłuchać chciała i odpowiedziała choć słowem na moje szalone słowa. Marya nie poruszyła się nawet, nie odemknęła powiek. Cera jej pozostała blada i ciało trwało w dawnej sztywności i odrętwieniu.

I wiedy, pośród tej długiej nocy zimowej, w tym domu opustoszałym, w tem oddaleniu od mojego kraju rodzinnego, z tą kobietą leżącą na moich rękach i zamierającą pod siłą jakiejś strasznej i nieznanej mi choroby — doznałem tak okropnego i tak przeszywającego lęku, iż zdawało mi się, że szaleństwo ogarnia już mój umysł. Zimny pot wystąpił na moje czoło i przeszedł mnie dreszcz dzikiej, nieludzkiej trwogi, dreszcz ludzi, wyczuwających zbliżenie się śmiertelnego niebezpieczeństwa. Oh! tak, Ranieri! Teraz już wiedziałem, że wokoło mnie czai się coś wrogiego mi, coś strasznego, jakaś groźba, której skutków uniknąć już nie jestem w stanie. To było przyczyną letargicznego omdlenia Maryi, to było przyczyną jej łez okropnych! Ale dlaczego najdroższa odpowiadać nie mogła na moje wołania? Było więc wokoło nas „coś", co kierowało jej wolą i mogło im je odebrać na zawsze!

Ale co? kto? Czułem się taki osamotniony i taki bezsilny w tej chwili, taki nędzny przed tem „czemś", co szło na mnie, że sam jak dziecko wylęknione rozpłakałem się, kryjąc twarz we włosach Maryi.

Tak, Ranieri, ja człowiek odważny i pewny siebie, drwiący zawsze z każdego niebezpieczeństwa, płakałem jak dziecko!

Jednakże następujące ciągłe zmiany w wyglądzie Maryi zaabsorbowały w końcu moją uwagę. Łzy już pomału schły na jej twarzy, lecz cera jej stawała się trupio zielona. Dostrzegłem, że parokrotnie otworzyła usta, jak gdyby chciała odetchnąć głębiej, lub też przemówić. Ale żaden dźwięk nie wyszedł z jej gardła. W końcu uczułem, że ciało jej nabiera sprężystości i władzy. Chciała próbować unieść się dwukrotnie, lecz za każdym razem opadała bezwładnie na poduszki, tak jak gdyby walczyła z siłą, przewyższającą jej wolę. Nareszcie uwolniła się z moich ramion, wyprostowała się pół ciałem i usiadła na łóżku. Usta jej otwarte drżały. A może wymawiały jakieś słowa. Pochyliłem się nizko nad nią i rzeczywiście dostrzegłem lekki, niedostrzegalny prawie ruch warg pobladłych. Ja jeden tylko zrozumieć to mogłem, ja jeden który ją kochałem nad życie! Tak! to były słowa, które wychodziły z drżących jej ust. Umieściłem się naprzeciw niej i bacznie spoglądając na jej wargi, koncentrując całą moją uwagę, usłyszałem szept nikły.

— Oto jestem — oto jestem...

Do kogo ona to mówiła? Kto ją przyzywał do siebie? Kto na nią czekał? Gdzie ona iść chciała? A ja? ja? Dlaczego odpowiadać mi nie chciała! Dlaczego głos mój nie czynił na niej wrażenia, dlaczego nie odczuwała moich pocałunków?

— Oto jestem...

Boże mój! Do kogo ona to mówiła?

Marya po chwili wsparła rękę na łóżku, chcąc powstać. Pospieszyłem jej z pomocą, podtrzymywałem, by stanąć mogła na nogach. W długiej, białej sukni, z oczami zamkniętemi, twarzą dziwnie pobladłą, podobna była do widma. Postąpiła krok naprzód i zachwiała się, jak gdyby upaść miała. Objąłem jej kibić ramieniem, podtrzymując mocno. Zwróciła się w stronę balkonu i iść zaczęła powoli, tak powoli, że ledwo nogi jej posuwały się po podłodze. Kiedy nareszcie doszła do środka pokoju, uwolniła się z mojego objęcia i po raz pierwszy od chwili, w której zapadła w ten dziwny stan, dała mi znak, abym odszedł. W rzeczywistości był to nieokreślony ruch ręką, lecz który mówił wyraźnie:

— Oddal się.

Ja jednak nie usłuchałem tego rozkazu. Byłem bardzo niespokojny i próbowałem uchwycić jej rękę, ale usunęła ją i zakreśliła znowu ten sam szeroki, nieokreślony gest, mówiący:

— Oddal się.

Tym razem usłuchałem. Widziałem, jak przechodziła przez drugą połowę sypialnego pokoju tym samym niepewnym, lekkim krokiem, zanim dwie dotykając stopą dywanu i zatrzymała się w zagłębieniu balkonu. Drzwi i okna były zamknięte, ale okiennice szeroko otwarte. Życzyła sobie zawsze, aby tak było, lubiąc patrzeć na morze. Wspominałem Ci już, Ranieri, że ta strona willi ostrym kantem wrzynała się prawie w morze, odgrodzone tylko od niego wąskim skwerem, otaczającym dom.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

2)

— Być może, ale nie warto odgrzebywać tego pokrewieństwa. Mógłby myśleć, że mi chodzi o awans, o protekcyę.

— No, a gdyby? czyż ci się to nie należy? skończone osły zajmują wyższe od ciebie stanowiska, a ty z takiem wykształceniem, taki pracowity sumienny masz pozostawać w tyle?

— Mamusiu! dajmy temu spokój.

— Ale jeżeli ty nie będziesz miał dużo pieniędzy to „Panterka" nigdy za ciebie zamąż nie wyjdzie — wtrąciła Terenia Woźniewiczówna czternastoletni podlotek w przeciwieństwie do brata niesłychanie wścibska, ruchliwa i pełna temperamentu.

Julian sposowiał. Zasłyszał on już nieraz że Stefę nazywają w biurze panterką i nazwę tę uważał za coś bardzo ukochanej dziewczynie ubliżającego. Jednocześnie zaś uderzyła trafność uwagi siostry. Czyż można sobie wyobrazić, aby Stefa poślubiła kogoś, kto nie będzie miał pieniędzy. Ona, która tak lubi wygodę, komfort.

— Co ty wygadujesz?— krzyknęła Woźniewiczowa — jaka panterka?! z kim się Julek ma żenić?!

— To tak u nich w biurze nazywają jedną pannę, w której się Julek kocha...

— Tereniu!... — próbował przerwać rozczerwieniony do niemożliwości Julian, ale Terenia nie pozwoliła sobie przeszkodzić i trzepała dalej:

— Widziałam ją wczoraj, jak szła z panem Króleckim z tym takim ładnym, co to wszystkie panny za nim przepadają. A jakichś dwu panów szło za nimi i mówili: — o widzisz, idzie panterka, piękny Romek bawi się w pogromcę drapieżnego zwierzątka...

— Milcz!... — Julian zerwał się od stołu spoglądając na siostrę tak groźnie, jak się mu to nigdy w życiu nie zdarzyło — jesteś niemądra smarkula i sama nie wiesz co gadasz! zabraniam ci powtarzać takie nonsensy. Rozumiesz?!

— Ależ, Julku, co ci się stało?...

Julian nie dokończywszy obiadu, wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

— Julku, jakto, nie będziesz już jadł?

— Nie, nie jestem już głodny — odpowiedział z poza drzwi.

— Proszę mamy dlaczego on się tak na mnie rozgniewał — zaczęła nieco zmieszana Terenia. — Przecież ja temu nie winna, że ją nazywają panterką!

— Kto ci mówił, że Julek się w tej pannie kocha? — zapytała matka posępnie.

— Ależ to wszyscy wiedzą, tylko Julek nam nic nie mówi. Tylko mamo ona za niego nie pójdzie, ona się z niego śmieje!... Nie cierpię tej panterki!... To musi być zła dziewczyna!...

ROZDZIAŁ II.

— Dlaczego panią nazywają panterką? — zapytał dyrektor Chaniewski, kiedy Stefa Łączkówna weszła do jego gabinetu przynosząc mu jakieś akty, które przepisała Bronka.

Zaśmiała się, pokazując białe, drobne, ostre zęby.

— To pan dyrektor już o tem wie? Sama nie wiem skąd się to do mnie przylepiło. Podobno pantera to jakieś dzikie, niebezpieczne zwierzę.

— A pani jest sobie taka mała, w miniaturze panterka — rzekł przesuwając spojrzeniem po jej kształtach pełnych, a jędrnych, przepysznie rysujących się pod miękką materyą sukni — ale czy pani wie, że to niezbyt pochlebna nazwa dla młodej, przyzwoitej panny.

Zaśmiała się jeszcze głośniej.

— Ależ ja wcale nie jestem przyzwoita, nic mi na tem nie zależy. Przyzwoitość to nie moja rzecz. Przyzwoita to jest Bronia Kuźniczówna, bo brzydka i lubi w książkach siedzieć, przyzwoita Mania Chocieszanka bo zagłupia, przyzwoita musi być Kazia, bo się gwałtem chce wydać zamąż, ale ja?...

Chaniewski spoglądał na nią rozweselony i zainteresowany. Wydała mu się istotnie jakiemś egzotycznem zwierzątkiem zuchwałem, drapieżnem i bezmiernie zabawnem.

— Przynajmniej pani ma odwagę szczerości... jakto, więc pani nie chciałaby wyjść zamąż?

Stefa położyła akta na stole i przybrała pozę zgoła nie urzędową, opierając się łokciem o biurko i podtrzymując palcami policzek. Luźny rękaw jej bluzki opadł i odsłonił białe okrągłe przedramię. Dyrektor postąpił kilka kroków bliżej i pochylił się tak, że ciepło promieniejące z młodego, zdrowego ciała dziewczyny owiało jego twarz. W stalowych chłodnych oczach zamigotały zielonkawe ogniki, kąty ust, wykrojonych wąsko i energicznie, zadrgały prawie niepostrzeżenie.

Stefa wyczuła intuicyą wytrawnej kokietki, że w tym spokojnym, chłodnym, wytwornym mężczyźnie zaczyna się coś burzyć. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie uśmiechnęła się znowu i spojrzenie swoich kocich źrenic zatopiła w oczach zwierzchnika.

— Więc pani nie myśli o zamąż pójściu? — podjął znowu Chaniewski, cofając się jednakże nieco — czy pani tak bardzo ukochała swoje biuro i swoją maszynę do pisania? nie przypuszczałbym tego sądząc po rezultatach.

— O nie! ja tego stukania nienawidzę, a robię to bo muszę!...

— Stuka też pani odpowiednio kiepsko — uśmiechnął się — szczerze mówiąc będę prawdopodobnie zmuszony dać pani dymisyę.

Stefa wyprostowała się przestraszona:

— Panie dyrektorze pan tego nie zrobi!... pan tego nie może zrobić!...

Złożyła ręce błagalnie i przechyliła się poprzez biurko ku Chaniewskiemu, który, zasiadłszy w fotelu, przewraca jakieś papiery. Jeden z jej złotych loków musnął czoło dyrektora.

Chaniewski nie patrząc na nią, wskazał jej krzesło.

— Proszę, niech pani siada. Pogadamy.

Usiadła posłusznie, spoglądając na niego z lękiem pomieszanym z zuchwałą, wyzywającą zalotnością.

— Stwierdziła pani sama, że nienawidzi stukania na maszynie. Ja zaś znowu nienawidzę niedokładnej roboty i dlatego zamierzam przeprowadzić odpowiednie zmiany. Niech się pani jednak nie obawia. Obmyśliłem dla pani coś innego, lepszego... stosowniejszego — dodał, akcentując silnie ostatnie słowo.

Stefa zrobiła obrażoną minę.

— Panie dyrektorze, co pan sobie myśli?... ja nie jestem znowu taka, jak pan sobie wyobraża... panu się zdaje, że ze mną to tak łatwo...

Chaniewski z trudem powstrzymał się od głośnego wybuchu śmiechu. Stefa podobała mu się coraz więcej. Ta mieszanina głupoty i sprytu, obłudy i szczerości graniczącej z bezczelnością, wywołała miłą emocyę w jego zblazowanych erotycznie nerwach starzejącego się donżuana.

Uznał, że ta dziewczyna może być tem, czem szklanka szampana po dobrym obiedzie. Szampan wprawdzie nie najlepszej marki, ale czasem i taki wystarczy...

— Ależ mnie się nic nie zdaje... ja pani jeszcze przecież nic nie powiedziałem. A pani sobie co wyobrażała?

Stefa zmieszała się i poczerwieniała. Zrozumiała, że palnęła głupstwo.

— Ja właściwie nic... ja tylko tak sobie...

— Ażeby więc uniknąć nieporozumień powiem pani odrazu, o co chodzi. Czy pani nie myślała nigdy o tem, aby wstąpić do teatru?

Stefie rozbłysły oczy, podskoczyła na krześle.

— Ależ naturalnie, że myślałam! tylko nie wiedziałam, jak się zabrać do tego, no i matka nie pozwalała mi o tem myśleć. Ale teraz tobym się jej nie pytała wcale o pozwolenie!...

— Widzi pani, ja mam znajomości w dyrekcyach teatru, mógłym więc pani dopomódz. Czy pani śpiewa trochę?

— Naturalnie, proszę pana dyrektora! ja mam głos i prezentowałabym się na scenie wcale dobrze, nie tak, jak taka Mańkowska, co to tylko kości w dekoltażu pokazuje! O! ja mam warunki.

Wstała z krzesła i wyprostowała się, podając naprzód pełny biust i prężąc biodra, jakby chciała dokładnie przedstawić swoje „warunki".

— Ano — rzekł powoli Chaniewski, strzepując popiół z cygara na malachitową popielniczkę — to pomówię z dyrektorem operetki, aby zaangażował panią do chórów.

Stefa zamyśliła się.

— A ile tam płacą w tych chórach?

— Płacą tyle, że nie wystarczyłoby na sprawienie sobie nawet jednego kostyumu.

— E! to tak...

— Wie pani, była raz jedna aktorka, która chciała sprawiać sobie tualety z gaży... no i wie pani, co się z nią stało?

— A co?

— Zwaryowała, a sądzę, że pani nie ma zamiaru zwaryować.

Stefa kiwnęła głową z uśmiechem. Zrozumiała.

— Nie! ja taka głupia nie będę...

— Trzeba jednak spróbować, czy pani ma głos...

— Mam panu dyrektorowi coś zaśpiewać?

— O nie tutaj, nie teraz, nie jestem usposobiony w tej chwili do słuchania śpiewu i lokal nieodpowiedni. Pani przyjdzie...

Spojrzał jej prosto, przenikliwie w oczy i ciągnął dalej:

— Pani przyjdzie dzisiaj wieczorem o godzinie 9.30 na ulicę... L. 15 pierwsze piętro. Zapuka pani do drzwi na lewo, gdzie przybity jest bilet wizytowy „Madame Anna, magazyn kapepeluszy". Ja będę już tam czekał. Więc pani przyjdzie?

— Panie dyrektorze, ale jakby mnie tak ktoś zobaczył, coby sobie pomyślał?

— Że pani idzie do Magazynu po kapelusz, a zatem?

— Będę panie dyrektorze.

— Tylko proszę punktualnie, bo ja niepunktualności nie znoszę. Od tego zależy pani engangement.

W korytarzu czekał na Stefę Julian Woźniewicz blado-siny.

— Czego ten dyrektor chciał od pani? nie dyktował nic, bo nie było słychać stuku maszyny.

— A to ślicznie, żeby pan podsłuchiwał pod drzwiami! co pana to właściwie obchodzi, czego mnie pan szpieguje. Jakiem prawem?

— Prawem miłości...

— Tere-fere!... Leźe mi pan w oczy z tą miłością, jak dziad z torbą!... Co mi tam z pańskiej miłości!...

Pogardliwem spojrzeniem zmierzyła jego wątłą postać, na której czyściuteńkie, bez jednej plamki, starannie odprasowane ubranie wisiało jak na kołku. Odczuł tę nieprzychylną lustracyę i spuścił oczy, głęboko zawstydzony swojem cherlactwem fizycznem. Istotnie, cóż on mógł przedstawiać wartościowego dla tej pięknej, przepysznie zbudowanej, tryskającej temperamentem i siłą dziewczyny. Rozkiełznania i anormalnego przerostu nie widział, uderzało go i olśniewało tylko bogactwo tych darów, jakimi natura uposażyła Stefę.

— Panno Stefo — bąknął — ja wiem, że ja dla pani nic nie znaczę, żem pani nie godzien... ale ja panią kocham i chciałbym uchronić przed niebezpieczeństwem... ten dyrektor... pani tego nie wie... nie rozumie... pani taka jeszcze młoda, niedoświadczona... czysta... pani przypuszczać nawet nie może.

Stefa patrzyła się w niego tak wyraziście, że można było z łatwością z jej oczu wyczytać pytanie: „Czy on sobie drwi ze mnie, czy on doprawdy taki głupi?" ale Woźniewicz nie posiadał z goła umiejętności czytania w oczach kobiecych. Jemu się zdawało, że Stefa jest niesłychanie przestraszona, zdumiona... Ciągnął więc dalej, podniecając się własnem uczuciem.

— Ja niczego od pani nie chcę, niczego nie wymagam. Tylko niech pani mi pozwoli bronić cię przed złymi ludźmi...

Dziewczyna parsknęła krótkim, przyciszonym, drwiącym chichotem.

— Dlaczego się pani śmieje? Czy pani nie pojmuje, że...

Nie dokończył, bo w tej chwili otwarły się drzwi jednego z biur, znajdujących się w korytarzu i ukazał się Roman Królecki, smukły, rasowy, zwycięsko piękny. Ujął Woźniewicza pod ramię i, nie zaszczyciwszy Stefy ani jednem spojrzeniem, nie przywitawszy jej ukłonem, rzekł:

— Chodźno Julek do mnie. Mam z tobą do pomówienia. Szkoda twojego drogiego czasu.

Pociągnął opierającego się nieco kolegę za sobą. Stefa została sama. Nie czuła się wcale obrażoną lekceważeniem, jakie jej Królecki okazał, przeciwnie, zaimponowało jej to.

— To mężczyzna — pomyślała z zachwytem — to dopiero jest prawdziwy mężczyzna!

Ciąg dalszy nastąpi.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM II.

— Hanza on czuwa na my lord, daje mu pić, przynosi mu jedzenie, podaje mu „pokarm chorego"... t. j. lekarstwo... podaje mu wszystko.

A tymczasem Ibrahim, jakkolwiek zawsze dobrze płatny i dobrze traktowany, stracił ogólne poważanie i stał się w oczach ludzi „jak pies, który je byle co i śpi byle gdzie".

Isaacson radby wiedzieć, kto odprawił Mohammeda? Został więc poinformowany, ze zwykłemi upiększeniami Wschodu, że Mrs. Armine zapragnęła mieć Hanzę, „podobał się jej, bo wciąż się modli". Ostatnie zdanie podawało w wątpliwość to, co było przedtem powiedziane, lecz gdy Isaacson odprawił Hassana i siedział oparty w fotelu, widział ciągle pięknego Hanzę — pięknego, gdyż tak doskonale typowego — osłoniętego duchem Wschodu i w nim zanurzonego, cichego fanatyka z fatalistycznemi oczami.

I Hanza zawsze podawał Niglowi „pokarm chorego".

Na wzmiankę Isaacsona o modlącym się Hanzie dziwny wyraz grozy ukazał się na twarzy Mrs. Armine. Isaacson zapamiętał to dobrze. Dlaczego modlitwa Hanzy napełniała ją zgrozą?

Isaacson potrzebował wypoczynku, a nie mógł go znaleźć. Ażeby spać, trzeba przestać myśleć i przestać oczekiwać.

Rozmyślał o dr. Hartley.

Przyzwyczaił się w swym konsultacyjnym gabinecie odczytywać charaktery, usposobienia. Co weźmie górę w doktorze Hartley, obawa, czy też jego słabość do kobiet? Opuszczając Lonlię Isaacson był przekonany, że obawa; ale jeżeli się mylił? Jeżeli Mrs. Armine użyje znów swego wpływu, a Hartley jej ulegnie i usłucha!

W takim wypadku Isaacson postanowił pójść za intuicyą. Jeżeli będzie błędną, następstwa mogą się okazać dla niego bardzo nieprzyjemne... prawie katastrofalne. Gdyby był w błędzie, Mrs. Armine z pewnością postarałaby się, żeby został ukarany. Ale musi zaryzykować. Nie ryzykował do tej pory, gdyż chciał wyczerpać wszystkie środki, ażeby uniknąć skandalu. Zniósł osobistą obrazę, impertynencyę, nawet zniewagę, lecz jednej rzeczy nie zniesie. Nie zniesie tego, żeby Mrs. Armine odniosła nad nim powtórne zwycięstwo, nie zniesie, żeby go wypędziła.

Jeżeli w Hartley'u weźmie górę obawa — to dobrze. W przeciwnym razie Isaacson wywoła scenę, spowoduje skandal, zwalczy nawet Nigla dla jego własnego ratunku. Czy to będzie potrzebnem?

Wkrótce będzie wiedział. Hartley obiecał wezwać go na konsylium tego jeszcze wieczoru.

— Tymczasem muszę odpocząć — mówił do siebie jak lekarz.

Zszedł na dół do swej kajuty, zamknął okiennice, położył się i zamknął oczy. Wbrew przewidywaniom prędko zasnął. Kiedy się obudził, usłyszał głosy w pobliżu. Leżał cicho i słuchał. To były gwałtowne głosy tubylców. Podniósł się, żeby wstać, wtem ulyszał pukanie do drzwi.

— Proszę — zawołał.

Hassan wsunął głowę.

— Ten pan, on tutaj!

— Jaki pan? Nie doktór Hartley?

— Chory pan.

— Nigel! Czy to było możliwe? Isaacson zerwał się i pobiegł na pokład, po którym przechadzał się Hartley. Zwrócił się szybko do Isaacsona.

— Pan przybył po mnie? — zapytał Isaacson, widząc, że słońce już zaszło.

— Odbyła się... bardzo niemiła... bardzo przykra scena! — odrzekł Hartley.

— Dlaczego? Z kim?

— Z nią... z Mrs. Armine. Co u licha pan jej uczynił, że jest tak panu przeciwna? To prawie... prawie nienawiść. Czy pan wyrządził jej jaką krzywdę?

— Nigdy w życiu!

— Ja... myślę doprawdy, że jest histeryczką. Zaszła w niej... ogromna zmiana.

— Zamilkł i po chwili zapytał nagle:

— Czy pan wie, w jakim ona może być wieku?

— Wiem tylko, że nie ma trzydziestu ośmiu lat.

— Nie ma trzydziestu ośmiu!

— Ma więcej. Powiedziała mi kiedyś... w sposób ogólnikowy.

Hartley spojrzał na niego z nagłem podejrzeniem.

— A zatem pan... państwo się dobrze znali?

— Nigdy!

— Do tej pory myślałem, że ma około trzydziestu.

— Do tej pory?

— Tak. Ona... dzisiaj ona wygląda prawie jak... no... jak kobieta w średnim wieku. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś się tak zmienił.

Młody człowiek wydawał się być tem poważnie zaniepokojony.

— Proszę siadać, dobrze? — rzekł Isaacson.

— Dziękuję. Ja...

Podszedł do poręczy. Isaacson podążył za nim.

— Nasza rozmowa zdecydowała mnie — rzekł Hartley — wezwać pana dzisiaj. Czułem, że to potrzebne. Czułem, że jestem do tego obowiązany względem siebie samego, jako... jeśli mam się tak wyrazić... wybijający się lekarz.

— Ma pan słuszność.

— Kiedy się zbudziła, powiedziałem jej o tem. Lecz przykro mi wyznać, że nie podzielała mego zapatrywania. Mieliśmy długą rozmowę. Nie była sobą. Wiedziała o tem. Powiedziała, że to moja wina... że nie powinienem był dawać jej veronalu. To pewno, że bardzo źle wyglądała. — Wie pan... — zwrócił się do Isaacsona z wyrazem lęku na twarzy... — to było tak, jakbym widział kobietę starzejącą się w oczach. A ja... myślałem... że jest zupełnie... stosunkowo... młodą.

— A wynik tej rozmowy?

— Z początku nie było tak źle. Zgodziłem się... myślałem, że to jedno było rozsądne... zaczekać, aż Mr. Armine się zbudzi i przekonać się, jak się czuje. Spał jeszcze jakiś czas, a my siedzieliśmy, czekając. Ona... muszę przyznać... posiada urok.

Pomimo niepokoju i nerwowego naprężenia Isaacson ledwo mógł powstrzymać uśmiech. Widział Bella Donnę zwalczającą postanowienia młodego człowieka różnorodną swą bronią.

— Posiada go istotnie — przyznał bez cienia ironii.

— Ah! każdy mężczyzna musi to przyznać. Ale z tem wszystkiem jest teraz ruiną.

Widocznie kobieca prawie intuicya Isaacsona nie zawiodła go. Ta postarzała twarz odegrała wielką rolę w postanowieniu Hartleya.

— Biedna kobieta! - dodał. - Słowo daję, nie mogę się wstrzymać od współczucia.

— A zatem pan przybył, żeby mnie zabrać na Lonlię?

— Powiedziałem jej, że muszę to uczynić.

— Jak pan znalazł chorego, kiedy się zbudził?

— Przyznam się, że nie jestem zadowolony.

— Nie? czy gorzej wygląda?

— Doprawdy... trudno wiedzieć. Lecz powiedziałem jej, że się ma znacznie gorzej.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Bo postanowiłem nie ponosić sam odpowiedzialności w obawie, że coś gorszego może się stać. Zaprzeczyła temu. Dowodziła, że mu jest o wiele lepiej... że jest silniejszym. Potakiwał jej, to prawda. Ale... mam wrażenie, że ona wkładała mu do ust słowa. Tak mi się przynajmniej zdawało. Mogę się mylić, ale zawsze... faktem jest, że już mam dość tego wszystkiego.

Ujął poręcz obu rękami.

— Kiedyśmy go opuścili, powiedziałem jej, że muszę pana wezwać. Rozgniewała się. Powiedziała, że pana nie chce, że pan był zawsze jej przeciwny, że starał się przeszkodzić jej małżeństwu z Mr. Armine, że pan ją oczernił w Londynie.

— Czy mówiła o tem w obecności męża?

— Nie. Siedzieliśmy w salonie. Przypuszczam, że służba musiała słyszeć. Straciła głowę. Byłem w bardzo niemiłem położeniu, ale... postanowiłem ją opanować.

— Udało się panu?

— Stałem przy swojem. Powiedziałem, że chcę i muszę usłyszeć zdanie kogoś innego.

— Kogoś innego?

— Pańskie, naturalnie. Niema tutaj nikogo. A po tem, co pan... co myśmy mówili i myśleli po południu, nie mogę czekać, żeby sprowadzić zdaleka innego lekarza.

— Wyruszymy zaraz — rzekł Isaacson.

— Tak.

Lecz powiedział to tonem wahającym i nie ruszył się z miejsca. Isaacson spojrzał na niego pytająco.

— Pragnąłbym wydostać się z tego wszystkiego — rzekł młody człowiek. — Po dzisiejszej sprzeczce mam tego dość. Nigdy nie miałem tak nieprzyjemnej sceny z żadną kobietą. To czyni moje położenie bardzo trudnem. Nie mam pojęcia, jak ona nas przyjmie. Nie zgodziła się na moją propozycyę i kiedyśmy się rozstali wyglądała strasznie.

— Mrs. Armine nienawidzi mnie. Bardzo mi przykro. Lecz muszę myśleć o chorym i pan również. Widzi pan, doktorze Hartley, zapomnieliśmy o naszej małej kłótni i mam nadzieję, że postaniemy dobrymi kolegami.

— Nie życzę sobie niczego lepszego — rzekł poważnie młody człowiek.

— Wrócimy na Lonlię, zobaczymy chorego i odbędziemy konsylium. A wtedy, jeżeli pan będzie trwał w zamiarze wycofania się...

— Rzeczywiście wolałbym. Zostawiłem znajomych, którzy czekają na mnie w Assnau.

— A na mnie nikt nie czeka. Przypuśćmy, że pacyent się zgodzi, a pan swego zamiaru nie zmieni, chętnie zdejmę z pana wszelką odpowiedzialność, i wezmę wszystko na siebie. A jeżeli kiedykolwiek będzie pan w Londynie...

— Może przyjadę tego lata.

— Wtedy będę mógł się panu przydać. Jedziemy? Tym razem Hartley się ruszył. Zdawało się, że ciężar spadł mu z serca.

— Zresztą pan jest starszym — rzekł, kiedy siadali do czółna — a przytem przyjaciel chorego. Nie myślę, żeby to się komu wydało nienaturalne.

— Najnaturalniesza rzecz w świecie — rzekł spokojnie Isaacson. — Dobrze Hassanie, możesz nam towarzyszyć. Wsiądź w tamto czułno. Prawdopodobnie będę ciebie potrzebował.

Obaj lekarze niewiele mówili płynąc do Lonlii. Każdy z nich był zajęty swojemi myślami. Lecz kiedy się zbliżali, Hartley zaczął się kręcić.

— Mam nadzieję, że będzie rozsądną — rzekł w końcu.

— Przypuszczam, że tak,

— Na czem pan to opiera?

— Stanowczo jest mądrą kobietą.

— Mądrą... oh, tak, jest mądrą. Była podobno znana w pewien sposób?

— Jako piękność... tak.

Isaacson powiedział to nie bardzo zachęcającym tonem i towarzysz jego umilkł, lecz nie przestał się kręcić. Kiedy byli blisko Lonlii prawie pod niebieskim światłem, które jaśniało z wysokiego masztu, Hartley rzekł cichym tajemniczym głosem:

— Sądzę, że pan powinien wejść pierwszy, jako starszy. To będzie wyglądało naturalniej.

— Dobrze, lecz nie chcę, żeby się zdawało...

— Nie, nie! Proszę na mnie nie zważać. Rozumiem doskonale. Zaprosiłem pana na konsylium, gdyż nie jestem zadowolony z przebiegu choroby.

Feluka otarła się o bok Lonlii. Ibrahim się ukazał. Uśmiechnął się na ich widok, uśmiechnął się jeszcze radośniej, kiedy zobaczył za nimi czółno, z siedzącym w nim Hassanem. Isaacson wysiadł pierwszy, Hartley poszedł za nim bez wielkiego pośpiechu.

— Chciałbym się zobaczyć z Mrs. Armine — rzekł Isaacson do Ibrahima.

— Czy pan wie, co ten napis znaczy? — zapytał Hartleya, wskazując na motto Lonlii.

— To?... owszem. Pytałem się. To z Koranu: „Przeznaczenie każdego człowieka przywiązane u jego szyi".

— Ah! Fatalistyczne. Czy trafia panu do przekonania?

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się. Ciekawym, czy ona nas przyjmie?

Ibrahim zaprowadził ich do salonu, a sam poszedł oznajmić. Isaacson usiadł na otomanie, lecz Hartley nie mógł ustać na miejscu. Obecny niepokój był w stosunku do jego dawnego uwielbienia dla Mrs. Armine.

— Sądzę... mam nadzieję, że nie zrobi nam sceny — rzekł.

— Oh, nie.

— Pan jej nie widział dzisiaj popołudniu.

— Była podniecona. Są ludzie, którzy nie znoszą dziennego snu. Miała czas przyjść do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Dowiedzieliśmy się zatem z obrad Komisyi budżetowej, że nasz deficyt wynosi zaledwie około ośmdziesiąt miliardów marek. Przeczytawszy o tem, ten i ów chwycił się za głowę i zapytał sam siebie po czesku: „kto to bude platit?“... Oczywiście nikt inny tylko my, podatnicy, z szczególniejszem uwzględnieniem Małopolski, w której śruba podatkowa, odziedziczona po śp. Austryi, choć skrzypi, ale funkcyonuje jako tako, gdy natomiast w Kongresówce starają się ją dopiero w ruch wprowadzić, lecz idzie to z trudnością.

Ten deficyt, który do końca roku kalendarzowego dojdzie zapewne conajmniej do stu miliardów, wygląda na oko bardzo poważnie, w gruncie rzeczy nie jest przecież tak wielkim i przerażającym, jeśli się zważy, jak małą wartość przedstawia nasza marka, nie dorównująca nawet dawnemu c. k. halerzowi, na który spoglądaliśmy z politowaniem, nic za niego kupić nie mogąc. Dziś z tem samem uczuciem patrzymy na markę, a gdyby się znalazł ktoś, chcący nią obdarować żebraka, może być pewnym, że zamiast podziękowania spotka się z najordynarniejszem wymyślaniem, jakiego nie żałują swym dobrodziejom krakowskie dziady. Dziś i ubogiemu trzeba dać conajmniej dwadzieścia marek, to też „dzienny zarobek“ takiego indywiduum wynosi kilka tysięcy. Przekonano się o tem niedawno gdy przy jednym z aresztowanych włóczęgów znaleziono ponad cztery tysiące marek, które, jak twierdził, zebrał tego dnia od serc litościwych.

I dziś dopiero, zastanawiając się nad naszym deficytem budżetowym, cieszymy się naprawdę, że nasza marka tak nisko stoi, że zatem ten niedobór, obliczony na dawną walutę, wyniesie zaledwie tysiączną część tego, co wykazują urzędowe sprawozdania.

Z drugiej strony jest to objaw bardzo pocieszający, że mamy tyle długów, gdyż świadczy to, iż stoimy na silnych nogach finansowych, golemu bowiem nikt nic nie pożyczy.

Warto się jednak nad tem zastanowić, co jest przyczyną tych naszych niedomagań finansowych, a na to pytanie nasuwa się odpowiedź, iż jest nią „racyonalna“ gospodarka, na którą stale słyszymy narzekania. Minister skarbu nie może nadążyć z drukowaniem nowych biletów bankowych, gdyż koledzy jego szafują nimi tak hojnie, jak gdyby to były zwykłe świstki papieru, a nie pieniądze, za które państwo odpowiada. Ale i temu nie można się dziwić, jeśli się zważy, że wielka liczba naszych dostojników na różnych odpowiedzialnych stanowiskach to ludzie nie mający pojęcia o tem, skąd i poco się tam znaleźli, a ponieważ mogą wydawać pieniądze, gdyż nie idą one z ich kieszeni (zato dość często do ich kieszeni...), sypią też nimi na prawo i lewo. Już to możemy sobie powiedzieć, że dzięki „kluczowi partyjnemu“ mamy u nas tego rodzaju dziwolągi, iż naprzykład wiceministrem spraw zagranicznych może być weterynarz, który się zna na sprawach wewnętrznych u krów i koni, inspektorem rolniczym, profesor gimnazyalny, filolog, aprowizatorem fabrykant papy dachowej, gdyż wsadziło ich tam stronnictwo, do którego należą, a które w danej chwili znajduje się u steru. Mniej już razi, jeśli wiceministrem skarbu zostanie referent podatkowy z jakiegoś prowincyonalnego miasta, lub gdyby na stanowisko ministra zdrowia powołano golibrodę, a na kierownika kultury i sztuki kataryniarza, gdyż każdy z nich bodaj trochę znają się na tem, do czego pełnienia go wezwano.

Ponadto wyrządzają skarbowi państwa nieobliczalne szkody różnego rodzaju „rycerze przemysłu“, którzy spekulują na konto państwa dla swego pożytku, pewni zupełnie bezkarności, jakiej im użycza przynależność partyjna. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera, a obie są niewiele warte. Któż ich zresztą skontroluje, jeśli ich bezpośredni przełożeni, to ludzie o domowem wykształceniu, wiedzący zaledwie tyle, że żyją, ale nie wiedzący poco właściwie. Wierzyć się poprostu nie chce, czytając w naszych pismach o transakcyach handlowych niejakiego pana Krupskiego, prezesa Misyi handlowej polskiej we Wiedniu, że podobne praktyki mogą być cierpiane i to tak długo. A takich Krupskich jest cały legion, tylko ich nazwiska szczęśliwym trafem nie dostają się do publicznej wiadomości.

I tu mamy znowu jeden z powodów naszego niedoboru budżetowego i niskiego stanu naszej waluty, mającego dziś, gdy papier drogi, mniej więcej tę samą wartość co drukarska makulatura.

W ślad za tem nasuwa się i drugie pytanie, czy wogóle i kiedy można się spodziewać poprawy tych stosunków. Na to pytanie odpowiedź nie jest tak łatwa, jak na poprzednie. Nie możemy przewidzieć, jak prędko marka nasza wzmocni się do tego stopnia, iż mogłaby dorównać nie frankowi, lecz bodajby swej niemieckiej siostrzycy, nad której spadkiem kursu płaczą ciągle Niemcy, a przecież grubo więcej warta, niż nasza. Zdaje się, że poprawa wartości naszej marki nie nastąpi tak rychło i wymagać będzie gruntownej sanacyi stosunków w każdej dziedzinie, co z natury rzeczy wymaga sporo czasu.

W każdym razie mamy bodaj tę pociechę, że jesteśmy narodem milionerów, w ślad bowiem za owym ośmdziesięcio miliardowym niedoborem i depracyacyą naszej marki idzie też i konieczność płacenia za wszystko setkami i tysiącami w rezultacie też i konieczność ciągłych podwyżek wynagrodzeń, aby dany osobnik mógł jakoś dotrzymać do tej chwili, gdy będzie nieco lepiej. Pięćdziesiąt tysięcy marek miesięcznie dla rodziny, złożonej z kilku osób, a chcącej wieść życie bodajby trochę podobne do przedwojennego, to zupełnie nie zawiele. A rocznie wynosi to przeszło pół miliona!... Inteligentów, którzy cieszyliby się takim zarobkiem miesięcznym jest stosunkowo niewielu, daleko zaś więcej pracujących fizycznie, czytaliśmy bowiem w ubiegłym tygodniu, iż w Warszawie niekwalifikowany robotnik miejski pobiera miesięcznie dwadzieścia dwa tysiące marek nie licząc różnych udogodnień. A cóż dopiero mówić o ukwalifikowanym?... Na to jednak nie trzeba szukać Warszawy, z czemś podobnem spotykamy się i na naszym gruncie. W pewnej krakowskiej instytucyi, zajęty tam artysta malarz, zatem inteligent, pobiera miesięcznej gaży *aż* dziewięć tysięcy marek, gdy natomiast robotnik dodany mu do pomocy, a zajęty rozcieraniem farb, czasem zaś dopuszczany do podmalowania płótna, zarabia w tym samym czasie *tylko* dwadzieścia tysięcy i jeszcze narzeka, że mu się krzywda dzieje i wyżyć nie może.

To wszystko, co wyżej powiedziano, to materyał bardzo odpowiedni do owego wiekopomnego dzieła: „O dobroczynnych skutkach wojny światowej“, którego napisaniem ma się zamiar kronikarz zająć w najbliższym czasie, o ile naturalnie nie stanie mu coś na przeszkodzie i jeśli znajdzie nakładcę. W poszukiwaniach za owym materyałem zwrócił się kronikarz z zapytaniem do jednego z kupców, u którego kupował zapałki (pudełeczko siedm marek), co jest powodem takiego ich podrożenia i dowiedział się, że na to złożyły się rozmaite okoliczności, przedewszystkiem zaś ogromnie wysokie wynagrodzenie robotnika i niebywałe wprost ceny wszelkich materyałów surowych. Idąc zatem po nitce do kłębka spotkawszy na wódce u Manrizia jednego z robociarzy, który dawniej gasił pragnienie u Siapsi lub Barberowskiego, poprosił go o informacyę, co wpływa na te ciągłe żądania, stawiane przez robotników o podwyższenie wynagrodzeń. Odpowiedział, że ogólna drożyzna, a jako przykład postawił choćby wódkę, za której kieliszek płacić musi sześćdziesiąt marek, lub węgle bez których żona w domu obiadu nie ugotuje. W dalszym zatem ciągu należało dojść dlaczego węgle tak podrożały. I oto z ust jednego z większych węglarzy usłyszał, iż przedewszystkiem wchodzą tu w grę ogromnie podniesione taryfy kolejowe. Sam węgiel jest tani, drogiem jest jedynie jego wydobywanie i transport. Trzeba było zatem powiadomić się co do taryf u zawodowego kolejarza, a ten oświadczył wprost, że do podniesienia opłat przewozowych przyczyniło się przedewszystkiem podrożenie węgli. Wytworzyło się zatem błędne kółko, węglarz zwalał winę na kolejarza, kolejarz na węglarza, w rezultacie przecież obaj przyznali, że nie bez wpływu na te stosunki jest i gwałtowne podrożenie artykułów pierwszej potrzeby, przedewszystkiem zaś tych, których dostarczają agraryusze, paskujący gdzie się tylko da na korzyść własnej kieszeni a szkodę bliźnich. W rezultacie aby dotrzeć do jądra prawdy, trzeba się zatem było pofatygować do agraryusza, ten zaś wysłuchawszy łaskawie, machnął lekceważąco ręką i rzekł:

— Niema o czem gadać!... Drożyzna musi być, jeśli ja za pudełko zapałek płacić muszę siedm marek!

Po wysłuchaniu wszystkich tych rewelacyi, był kronikarz dopiero jak tabaka w rogu, wiedział bowiem, że wszystko podrożało, ale nie mógł się dowiedzieć, komu to ma właściwie zawdzięczyć. Wywiady przeprowadzone przez niego, wyszły od pudełka zapałek i na niem się skończyły.

Czytając swojego czasu w dawniejszych wspomnieniach, że w latach 1812 i 1816 płacono za guldena srebrnego przeszło tysiąc papierowych, byliśmy zdania, że to chyba przesada, dziś przecież widzimy, że można temu wierzyć, jeśli weźmiemy na uwagę obecne stosunki.

Dziś nie trzeba zmieniać papierów na srebro, a dochodzi się do tego samego mniejwięcej rezultatu. Przed wojną za papierową koronówkę można było otrzymać sto pudełek zapałek szwedzkich, dziś za to samo *quantum* zapłacić trzeba siedmset marek papierowych. Przy innych artykułów spotykamy się z podobną różnicą, na czem przecież wychodzą najlepiej konsumenci i nabywcy, odzwyczajając się powoli od kupowania rozmaitych rzeczy, bez których, jak im się przedtem zdawało, nie byliby się wstanie obejść. Taki naprzykład pan radca lub inny burżuj był pewny, że bez kieliszka wódeczki przed obiadem nie strawiliby należycie darów Bożych, teraz obchodzi się zupełnie dobrze bez niego, gdyż go na to nie stać, a takim się cieszy apetytem, że, gdyby go wstyd nie było, sprzątnąłby za jednym zamachem pięć obiadów w głodnej kuchni, nic sobie z tego nie robiąc, iż w skład ich wchodzi fasola. Natomiast sfery pracujące fizycznie doszły do tem silniejszego przekonania, że wódeczka wpływa bardzo korzystnie na wzmożenie energii życiowej i one też są jej głównymi konsumentami. A ponieważ ona drożeje z dnia na dzień, muszą się też co kilka tygodni upominać o podwyższenie wynagrodzeń.

Z temi podwyżkami dzieje się bardzo ciekawie. Wytworzyło się tutaj błędne koło, które ciągle się obraca, ale raz wkońcu musi pęknąć i rozsypać się w kawałki. W miarę, jak drożeją artykuły codziennej potrzeby, następują też i podwyższanie wynagrodzeń, a ma ono ten skutek, że przemysłowcy i kupcy podnoszą znowu ceny, wychodząc z założenia, że należy ciągnąć, skoro jest z czego, zresztą marki bezpieczniejsze są w ich wertheimowskich kasach, niż w dziurawych kieszeniach ludności. Po tej zwyżce cen nastąpić musi nowe podniesienie wynagrodzeń i jedno za drugiem idzie kolejno aż do skutku. Kiedy tego koniec będzie, to trudno przewidzieć, sprzedającym nie sprzykrzy się nigdy zgarniania monety i chowanie jej, kupujący natomiast mogą dojść do tego stanu, iż wreszcie powiedzą sobie: „Teraz już nie damy rady!...“ A wtedy kupiec i przemysłowiec, aby się pozbyć swego towaru, będzie musiał zniżyć ceny, które oczywiście nie będą nigdy już takiemi, jakiemi były przed wybuchem wojny. Każda większa wojna ma to do siebie, że jednem z jej dobroczynnych następstw jest drożyzna, odtąd stale się już utrzymująca. W ten sposób płaci ogół koszta wojny, choć bynajmniej sobie nie życzył, aby panowie królowie lub cesarze wodzili się za łby, niczem chłopi na jarmarku.

Aby dziś podołać wydatkom, trzeba stale nosić ze sobą worek wyładowany banknotami, gdyż w portfelu, chociażby był nawet takich rozmiarów, jak owe, których przed wojną używali rzeźnicy, stanowczo się nie pomieszczą.

Ktoś tam zastanawiał się i to nawet bardzo poważnie nad tem, kiedy wzmocni się nasza waluta i doszedł do przekonania, że nastąpi to dopiero wówczas, gdy większa część marek polskich znajdzie się zagranicą, a tamtejsi spekulanci giełdowi powiedzą sobie, że nadszedł już czas, aby na markach zrobić dobry interes i sami zaczną je podbijać w kursie, wiedząc o tem, że skarb polski musi za nie zapłacić, a stać go na to. Konsekwentnie obniżają też wartość naszej waluty i stale ją wyławiają, przyjdzie jednak czas, że sami postarają się o to, aby odzyskała pełny swój walor, na czem jednak wyjdziemy najgorzej my, dostając się jako dłużnicy w zupełną zależność od wierzyciela. Mamy tu naturalnie na myśli ogół, gdyż nie braknie jednostek, które także i na tem zrobią dobry interes.

Ten moment jeszcze nie nadszedł i prawdopodobnie tak rychło spodziewać się go nie można. Marka spada w coraz szybszym tempie i doprawdy trzeba czuć wdzięczność wobec tych, którzy nam jeszcze coś za nią sprzedają a nie każą sobie za to płacić frankami, dolarami lub funtami szterlingów. Oczywiście nie czynią tego bezinteresownie, ale za swe dobre serce doliczają do cen odpowiedni procent.

Nie tracimy jednak nadziei, że doczekamy jeszcze tej miłej chwili, iż za bułkę, dawniej centówkę, płacić się będzie markę, a stróż domu, zadowolony będzie otrzymując również tyle za otwarcie bramy, a nie dwadzieścia marek, jak tego obecnie żąda. Kiedy jednak możemy się tego spodziewać, oto znowu pytanie, na które przecież dać odpowiedź trudniej niż na dwa poprzednie. Ludzie, którzy nauczyli się płacić za wszystko tysiącami, nie tak łatwo przywykną do wydawania drobnych sum. Jest źle, o tem niema dwu zdań, ale trzeba się cieszyć, że nie jest jeszcze gorzej. Zanim stosunki ułożą się w ten sposób, aby zwykły śmiertelnik mógł jakotako dychać, dużo czasu jeszcze upłynie, doświadczenie zaś, jakie nabyliśmy przyda się nam na później, nauczymy się bowiem obchodzić się bez rozmaitych niepotrzebnych rzeczy.

Światowa wojna ma więc dziś już widoczne dobroczynne skutki, które, nawiasem mówiąc, zwykłemu śmiertelnikowi bokiem już wyłażą i nie miałby nic przeciw temu, aby teraz wojna rozgorzała gdzieś daleko od nas, a my moglibyśmy się zabawić w neutralnych, na czem, jak doświadczenie uczy, robi się wspaniałe interesy.

przeniesienia się na scenę T atru polskiego w Warszawie. Tu wstępnym bojem podbija teatralną publiczność, dość niechętnie odnoszącą się do przybyszów z obcych stron i od pierwszej chwili staje się ulubieńcem Warszawy. Niezrównane jego kreacye w „Pygmalionie“ Shawa, w „Związku atletów“ Duchamella, w „Oczach księżniczki Fatmy“, w „Uczonym“ Winawera, z których część mieliśmy sposobność podziwiać na scenie krakowskiej, to prawdziwe perły sztuki aktorskiej, w której Bończa okazał się prawdziwym mistrzem. Był także znakomitym recytatorem, a niepoślednią zasługę położył budząc w naszej młodzieży gorące zamiłowanie do dramatu klasycznego.

Krakowska publiczność teatralna cieszyła się na samą myśl, iż na początku obecnego sezonu ujrzy Bończę na gościnnych występach na naszej scenie, niestety, niespodziewana jego śmierć zniweczyła te nadzieje.

W Zmarłym traci polska scena artystę, jakiego mogłaby nam pozazdrościć zagranica na długo też okryje się żałobą, a luka, przez śmierć Jego powstała, nie tak łatwo i nie tak prędko da się zastąpić.

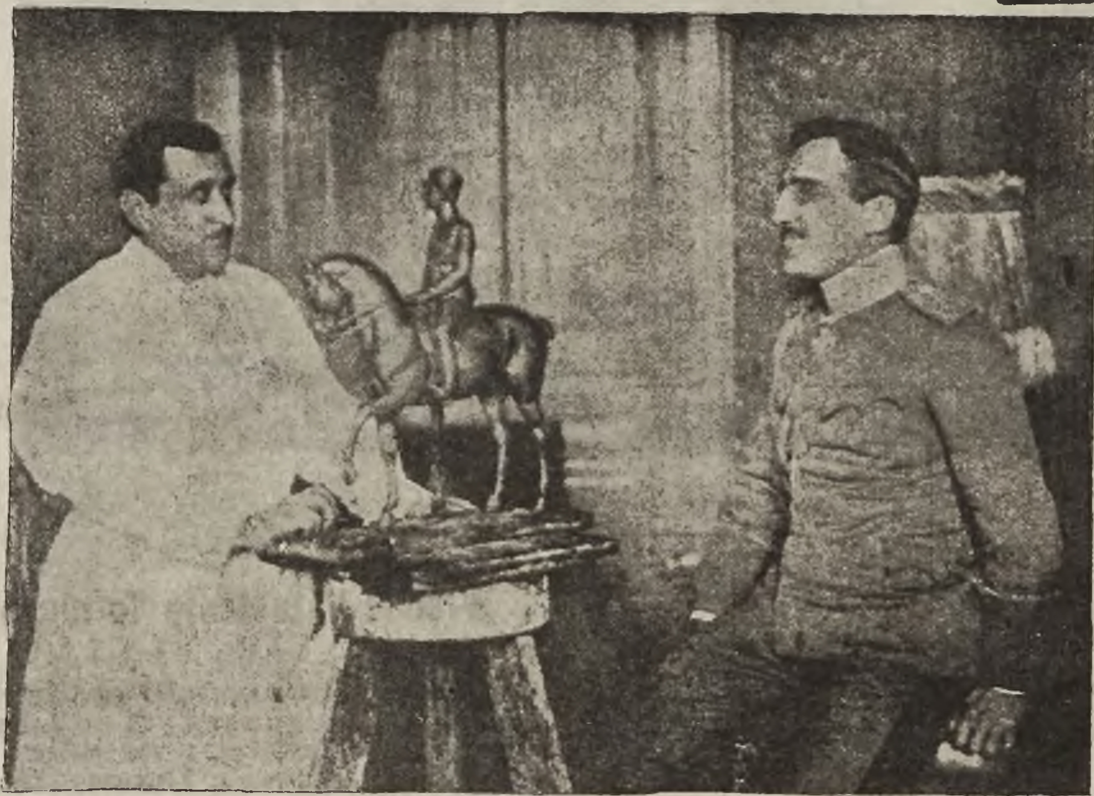
Druga rocznica ogłoszenia niemieckiej konstytucyi.

(Do ilustracyi na stronie 3 i 4).

Dwa lata upłynęły w dniu 11 sierpnia b. r. od chwili uchwalenia w Wejmarze i ogłoszenia nowej konstytucyi niemieckiej, zamieniającej dawne cesarstwo w republikę związkową. Przez ten czas były Niemcy widownią rozmaitych prób przywrócenia już to dawnego porządku, już też wprowadzenia ustroju komunistycznego, ostatecznie przecież i jedne i drugie starania nie doprowadziły do skutku, a rząd republikański, powołany wówczas do życia, z niewielkiemi zmianami utrzymał się u steru. Czy wytrzyma i dalsze próby ogniowe, tego dziś przewidzieć nie można, zwłaszcza, że większość ludności niemieckiej jest usposobioną monarchicznie i czeka tylko na sposobność, aby Hohenzollernów wprowadzić znów na tron cesarski, z którego zmiotła ich zawierucha światowa przez nich samych wywołana.

Druga rocznica ogłoszenia konstytucyi była zatem, nie jak podają pisma rządowe, świętem narodowem, lecz jedynie świętem obecnego rządu, w którem prócz oficyalnych przedstawicieli i wojska, odkomenderowanego w tym celu, wziętło udział stosunkowo bardzo niewielu z pośród obywatelstwa, gdy natomiast wszelkiego rodzaju manifestacye monarchyczne gromadzą ich tysiące.

W dniu 11 sierpnia b. r. urządzono uroczysty obchód drugiej rocznicy ogłoszenia konstytucyi w sali berlińskiej Opery. Na uroczystość przybył prezydent republiki F. Ebert, kanclerz dr. Wirth, ministrowie, członkowie parlamentu, funkcyonaryusze państwowi i wielu dziennikarzy. Rozpoczęto odegraniem uwertury z „Wolnego strzelca“, poczem przemówił kanclerz Wirth, zaznaczając z naciskiem, że konstytucya, która przetrwała już dwa lata, oprze się i wszelkim dalszym na nią zamachom, zapewniając Niemcom świetną przyszłość. Nie zapomniał także i o Górnym Śląsku, wyrażając się, iż o jego losach rozstrzygnie Liga Narodów, z tonu jego przemówienia można było wyczuć, że nie wątpi w załatwienie tej sprawy na korzyść Niemiec, jak im się to słusznie należy. Na zakończenie odbyła się parada wojskowa, lecz bez tej ostentacyi, z jaką spotkać się można podczas obchodów wszechniemieckich, które swą obecnością uświetniają różnego rodzaju Hindenburgi, Ludendorfy, Goltze itp. Przed prezydentem Ebertem i kanclerzem Wirthem, którzy poprzednio odbyli przegląd batalionu honorowego *Reichswehry*, przedefilował on następnie, a uczestnicy rozeszli się w spokoju na obiad do swych domów. Większość mieszkańców Berlina dowiedziała się dopiero z porannych gazet dnia następnego, iż w dniu 11 sierpnia b. r. obchodził uroczyście „cały naród niemiecki“ drugą rocznicę ogłoszenia swej konstytucyi.



Zmiana tronu w Serbii: Nowy król, Aleksander I, pozujący w czasie pobytu we Francyi artyście rzeźbiarzowi baronowi Rausch de Traubenberg przy modelowaniu jego konnej statuy.



Wielka katastrofa lotnicza: Zniszczony skutkiem eksplozyi nad Hull największy na świecie statek powietrzny „Z R. 2“.

Z żałobnej kroniki.

(Do illustracyi na str. 4).

Sztuka polska poniosła dotkliwą stratę przez śmierć śp. Seweryna Böhma, długoletniego zasłużonego sekretarza i wiceprezesa krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, zmarłego w naszem mieście w dniu 24 sierpnia b. r. w ośmdziesiątym ósmym roku życia.

Sp. Zmarły ukochał sztukę całem sercem i jej służbie poświęcił większą część swego życia, dokładając wszelkich starań, aby rozwijała się jak najwspanialej. Szerokie pole do rozwinięcia owocnej działalności dało mu skromne na pozór stanowisko sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, które piastował lat dziesiątki, będąc duszą tej instytucyi, nie pojmowanej i nie popieranej przez ogół naszego społeczeństwa. Życie śp. Böhma to jedno pasmo borykań się z przeciwnościami, byle tylko nie dopuścić do tego, aby Towarzystwo, w które włożył większą część swojego ja, miało upaść. Z jakiemi walczył trudnościami, wiedzą ci, którzy na te jego zmagania się patrzeli, zasługi jego oceniają też należycie, to bowiem, czem jest dziś nasze Towarzystwo Sztuk Pięknych ma przedewszystkiem zabiegom swego sekretarza do zawdzięczenia. Pierwotnie mieszczące się w salach biskupiego pałacu, później przeniesione do odpowiedniejszych ubikacyi w odrestaurowanych Sukiennicach, dziś posiada właściwy gmach przy Placu Szczepańskim, co zawdzięcza również w wielkiej mierze pracy i staraniom swego sekretarza.

Dwa pokolenia artystów przewinęły się przez czas urzędowania śp. Böhma i patrzyły na jego cichą, a zapobiegliwą pracę przechowując we wdzięcznej pamięci jego starania i troskliwość o dobro i rozwój polskiej sztuki, kroczącej u nas stale po drodze bardzo ciernistej i kamienistej, pełną oddania działalnością zapisał się też najchlubniej w rocznikach Towarzystwa. Malarze stracili w nim przyja-



Z grecko-tureckiego piekiełka: Król grecki Konstantyn I witany owacyjnie przez ludność Smyrny.



Z grecko-tureckiego piekiełka: Oddział wojska w staro-greckich strojach, tworzący honorową straż króla Konstantyna na ziemi małoazyatyckiej.

ciela, który wiele czynił dobrego i zasłużył na pamięć ludzką.

Pogrzeb śp. Böhma odbył się z kaplicy cmentarnej przy udziale licznego grona osób ze świata artystycznego i przedstawicieli stowarzyszeń kulturalno-artystycznych, w łonie których powstała myśl uczczenia pamięci zasłużonego sekretarza trwałą fundacyą.



Przyszła cesarzowa Japonii: Księżniczka Naga-Ko narzeczona japońskiego następcy tronu.

Zmiana tronu w Serbii.

(Do illustracyi na str. 4 i 9.)

Zgon króla Piotra Karageorgiowicza, twórcy zjednoczonej Serbii, wywołał w całym kraju ogólny żal. Pisma jugosłoweńskie przepełnione są hymnami pochwalnemi na cześć narodowego bohatera, któremu nareszcie udało się zjednoczyć to, nad czego rozdzieleniem pracowały całe wieki, to jest zamienić w czyn marzenie serbskich patryotów o Wielkiej Serbii, obejmującej wszystkie kraje południowo słowiańskie. Podnoszą jego miłość ojczyzny i oddanie się jej sprawom całą duszą, stawiając go za wzór innym i przyznając mu z woli ludu serbskiego tytuł „Wielkiego“.

Illustracya, jaką zamieszczamy w niniejszym numerze, przedstawia króla Piotra w okresie wojny światowej, gdy Serbom groziło poważne niebezpieczeństwo ze strony mocarstw centralnych. Zmuszony do opuszczenia swej stolicy, król Piotr, zwyczajem swych przodków, na znak żałoby zapuścił brodę, której nie zgolił aż do chwili powrotu jako tryumfator i pogromca wojsk austryackich.

Nowego króla Aleksandra I. młodszego syna króla Piotra, a dotychczasowego regenta, widzimy natomiast na fotografii jako model, pozujący artyście rzeźbiarzowi do statuy konnej, podczas ostatniego jego pobytu we Francyi.

Trzydziestodwuletni Aleksander obejmuje rządy pod szczęśliwą gwiazdą, witany gorąco przez wszystkich Serbów, Horwatów i Słoweńców jako syn tego, który połączył ich wszystkich w jedno potężne dziś państwo.

Wielka katastrofa lotnicza

(Do illustracyi na stronie 9.)

Żegluga napowietrzna, choć zdawałoby się, że doprowadzona już do doskonołości, połączona jest ciągle z wielu niebezpieczeństwami, którym jakoś dotąd nie udało się zaradzić. Zwłaszcza okręty powietrzne największych rozmiarów, typu Zeppelina, padają zbyt często ofiarą katastrof, odbierając ludziom odwagę do korzystania w szerszym zakresie z komunikacyi powietrznej. A obecnie dąży świat do tego, aby powietrzem odbywać podróże między nawet bardzo odległymi krajami naprzykład Anglia i Stany Zjednoczone.

W tym kierunku odbywały się właśnie próby nawiązania stałej komunikacyi między starym a nowym światem drogą powietrzną ponad Atlantyk. Jednym ze statków powietrznych, do tego celu przeznaczonych, był angielski okręt powietrzny „Z. R. 2“, największy z dotychczas zbudowanych, o długości 695 stóp i pojemności 300 tysięcy stóp kubicznych gazu. Materyału opałowego mógł zabrać w podróż dostateczną ilość na przebycie 6500 mil angielskich.

W ubiegłym tygodniu statek ten uległ z niewiadomych przyczyn, katastrofie ponad Hull, wracając z próbnej podróży. Szczątki okrętu, zniszczonego eksplozyą w przetworach powietrznych, spadły do rzeki Humber. Na pokładzie okrętu znajdowało się w chwili katastrofy pięćdziesiąt osób, z których zaledwie sześć zdołało się uratować i to tylko dzięki temu, iż zdajdował się on niezbyt wysoko nad ziemią przygotowując się do lądowania. Między ocalonymi znajduje się kapitan statku. Śmierć znalazło między innymi pięciu oficerów angielskich i kilku amerykańskich oficerów marynarki. Setki osób były świadkami katastrofy, ofiarom wypadku pospieszono natychmiast z pomocą.



Egzotyczny artysta m larz: Si Azouaou Mammeri profesor rysunków w szkole francusko-arabskiej w Rabat.

Przyszła cesarzowa Japonii.

Opisując pobyt japońskiego następcy tronu, ks. Hirohito, w Londynie i Paryżu zaznaczyliśmy, iż przyszły władca Japonii po powrocie do swej ojczyzny z podróży, która miała na celu jego „otarcie się w świecie“, ma zaślubić księżniczkę Naga-Ko, na którą padł jego wybór.

Sądzimy, że spełnimy życzenia naszych P. T. Czytelniczek, podając obecnie podobiznę przyszłej cesarzowej Japonii, z utęsknieniem oczekującej na powrót swego przyszłego małżonka. O wdzięku, szyku i zalotności cór Europy słyszała biedna Naga-Ko bardzo wiele, w czasie tej kilkumiesięcznej rozłąki nieraz boleśnie ściskała jej serce obawa, by przypadkiem nie zbałamuciła go z nich która.

Czy Naga-Ko jest piękną, osądzą to same Czytelniczki, w każdym razie nie musi być pozbawioną wdzięku, choćby tylko w jego japońskiem pojęciu, skoro książę Hirohito wybrał ją za dozgonną towarzyszkę życia, lubo nie należy do jednej z rodzin uprzywilejowanych, w których się w myśl tradycyi żenią japońscy władcy.

Książę Hirohito ukończył już swój objazd po Europie i wraca do swego kraju, gdzie bezpośrednio po przybyciu ma się odbyć jego ślub.



Z grecko-tureckiego piekiełka: Główna kwatera armii greckiej w Smyrnie.

Z grecko-tureckiego piekiełka.

Aby zadać kłam twierdzeniu inicyatorom wojny światowej, iż odtąd nastaną dla świata czasy niczem niezakłóconego spokoju, echa bojowe dochodzą do nas coraz głośniej z różnych stron.

Widownią bardzo poważnych starć jest zwłaszcza Azya Mniejsza, gdzie wre zażarta walka między Grekami i Turkami, mająca za podkład traktat pokojowy Koalicyi z Turcyą, podpisany w Sèvres spychający tą ostatnią do stanowiska podrzędnego państwa azyatyckiego, nadający zaś Grecyi na lądzie małoazyatyckim pewne terytorya. Nacyonaliści tureccy pod wodzą Kemala baszy chwycili za broń celem obrony stanu swego posiadania, zaczepnie wystąpili Grecy, aby odebrać to, co im przypadło w udziale.

Wojna ta, prowadzona z obydwu stron z ogromną zaciekłością, przez Turków zaś uważana za pewien rodzaj wojny świętej, toczy się już od dłuższego czasu ze zmiennem dla obu zapaśników szczęściem. Pierwotnie wzięły górę wojska tureckie, wspomagane hojnie przez bolszewików i Niemców, potem

odwróciło się szczęście w stronę Greków, a to od chwili, gdy na teren walki przybył król Konstantyn, aby osobiście objąć dowództwo. Zdawało się nawet, że spełnią się zeszłoroczne przepowiednie greckiego mnicha, iż król Konstantyn wkroczy jako zdobywca do Konstantynopola, choć Koalicya oświadczyła, że mnich może sobie gadać, co mu się podoba, a ona Greków nad Bosfor nie puści, gdyż sama tam się już rozsiadła i ani myśli się z tamtąd ruszyć. W zwycięzkim pochodzie posunęły się wojska greckie w ślad za uciekającą zdemoralizowaną armią Kemala baszy aż pod samą Angorę. Francuscy rzeczoznawcy wojenni przestrzegali Greków przed zbytniem oddalaniem się od swych podstaw operacyjnych i kto wie, czy nie mieli racyi, gdyż telegramy z dnia 26 sierpnia b. r. doniosły, że Grecy ponieśli po pięciodniowej walce nad rzeką Sakaryą poważną klęskę, a ich armia wycofała się w kierunku Eskiheli.

Grecya zastrzega się, że przy regulowaniu swego stosunku do Turcyi nie uzna postanowień traktatu w Sevres, lecz zażąda uwzględnienia poniesionych przez się wysiłków.

Egzotyczny artysta-malarz.

(Do ilustracyi na stronie 10).

Niebywałą sensacyę budzi w sferach artystycznych Paryża przybyły tamże w ostatnich czasach z Afryki artysta-malarz Si Azouaou Mammeri, profesor rysunków w szkole francusko-arabskiej w Rabot. Si Azouaou Mammeri jest pierwszym muzułmaninem, który poświęcił się sztuce malarskiej w jej europejskiem pojęciu i doprowadził w niej do prawdziwego mistrzowstwa. Jego prace artystyczne, wystawione w Paryżu, zyskały sobie ogólne uznanie tak fachowej krytyki, jak i publiczności, a niektóre z nich zakupił rząd francuski. Do celniejszych utworów należą: „Panorama Fezu“, „Szkoła Koranu w Rabat“ i „Wejście pod górę w Fezie“.

Przybył on do Paryża na wystawę swych prac, która cieszy się ogromną frekwencyą, a jeszcze większe zainteresowanie budzi sama osoba artysty, przybranego w malowniczy strój arabski.



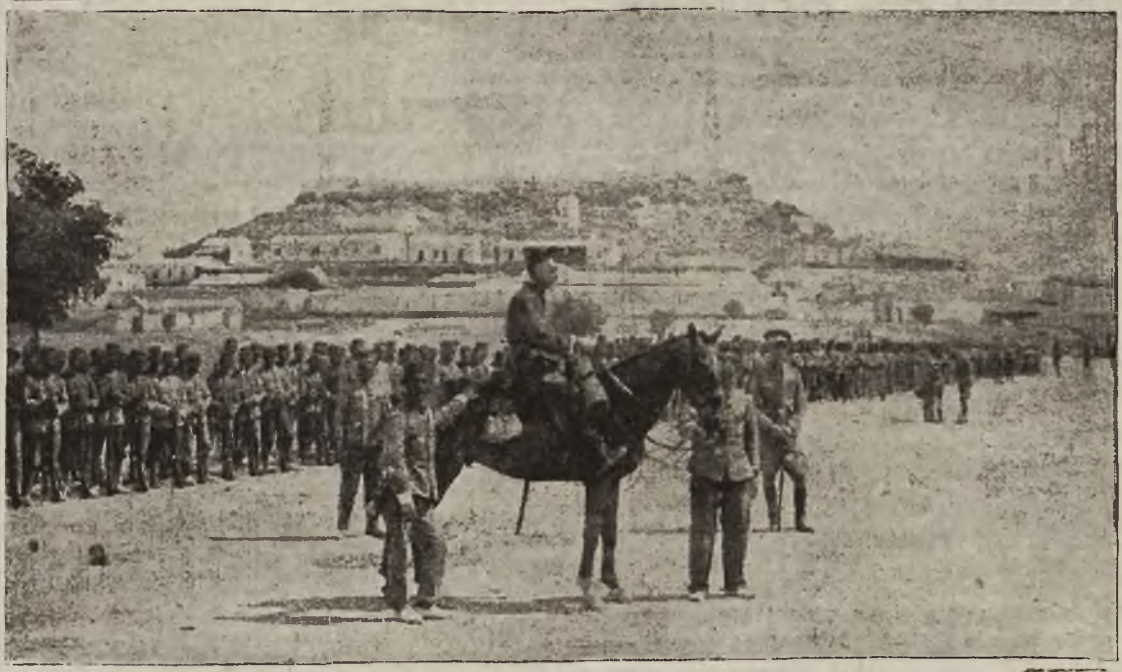
Francusko amerykańskie braterstwo broni: Delegacya Legii amerykańskiej przed domem rodzinnym marszałka Focha w Tarbes. Pułkownik Emery i pułkownik d'Oller z pamiątkową plakietą wykonaną ku czci francusko-amerykańskiego zbratania.

Niepokoje w Marokko.

Obyśmy byli fałszywymi prorokami... zdaje nam się przecież, że Europa narobiła sobie dość kłopotu wywołaniem światowej wojny i nawarzyła sobie przez nią piwa, która bynajmniej nie jest smaczne i zdrowe. Zwłaszcza głeszona przez mocarstwa sprzymierzone zasada samostanowienia ludów o swoim losie, da się jeszcze nieraz we znaki samym jej autorom.

Następstwa tego widzimy już dziś. Rozmaite narody, dotąd ciemiężone prz z silniejszych najeźdźców, zaczynają się nie na żarty upominać o swoje prawa, wychodząc, z zupełnie zresztą słusznego założenia, że to samo, co ma obowiązywać w Europie, powinno się i do nich stosować. Jednem słowem tu i ówdzie zaczynają podnosić głowę, aby się pozbyć swych nieproszonych gości. Nadziei powodzenia dodaje im, iż same te mocarstwa nie mogą się zgodzić między sobą, a wiadomo, że gdzie się dwu bije, tam trzeci stara się z tego korzystać.

Hiszpania nie brała wprawdzie udziału bezpośredniego w światowej wojnie, zachowując neutralność, jest jednak pierwszem z państw europejskich, które ma kłopot z podbitymi niegdyś przez siebie ludami. W strefie wpływów hiszpańskich w Marokku wybuchło przeciw okupacyjnym wojskom hiszpańskim powstanie miejscowej ludności. Nie-



Niepokoje w Marokko: Żołnierze 68 pułku hiszpańskiego, którzy schronili się na terytoryum francuskie, oczekują przybycia marszałka francuskiego Lyantey.

przygotowani na to, znaleźli się Hiszpanie w bardzo poważnem niebezpieczeństwie, a część ich sił zbrojnych musiała się schronić na terytoryum francuskie. Wydarzenia te przerwały wakacyjny wypoczynek króla Alfonsa w San Sebastian i zmusiły rząd hiszpański do wysłania do Afryki znacznych posiłków, aby siłą przywrócić porządek.

Dla mocarstw europejskich jest to groźne *memento*, zwłaszcza, że w niedługim potem czasie wybuchły jeszcze groźniejsze zamieszki w Indyach angielskich, przybierając charakter świętej wojny świata muzułmańskiego przeciw Europejczykom.

Jeśli zatem nie są to odosobnione wypadki, które da się zdusić w zarodku, bardzo łatwo możemy się znaleźć w przededniu grożącego nam „żółtego niebezpieczeństwa“, przed którem swojego czasu przestrzegał ex-cesarz Wilhelm.

Francusko-amerykańskie braterstwo broni.

W uroczystości odsłonięcia pomnika Joanny d'Arc we Flirey zamanifestowały Stany Zjednoczone swe braterstwo broni z Francyą, z którą dzieliły wspólnie trudy wojny światowej. Z ramienia rządu amerykańskiego przybyła do Francyi delegacya złożona z marszałka Pershinga, M. Jusserand'a oraz członków Legii amerykańskiej pod wodzą pułkownika J. G. Emery.

W powitalnej swej mowie, którą pułkownik Emery wygłosił po wylądowaniu w Cherbourgu, wyraził się między innemi:

— Przybyliśmy, aby zaświadczyć o naszej przyjaźni, a uczucia, które nas do Francyi sprowadziły, nie powinny nigdy wygasnąć!...

Delegacya po uroczystości poświęcenia statuy wręczyła reprezentacyi miasta Flirey fotografię prezydenta Hardinga z jego podpisem i własnoręcznie skreślonemi słowami: „Obywatele Flirey! Z serdecznemi pozdrowieniami i najlepszemi życzeniami Stanów Zjednoczonych Ameryki. Szczery: Warren G. Harding.“

Przy tej sposobności zwiedzili goście amerykańscy dom rodzinny marszałka Focha w Tarbes.

Młodociane pływaczki.

O rozmaitego rodzaju cudownych dzieciach słyszało się i czytało wiele. Przedwczesny rozwój zdolności w różnych kierunkach budził nieraz prawdziwy podziw, niejednokrotnie przecież był tylko zwykłym humbugiem, obliczonym na tumanienie łatwowiernych, celem wyciągnięcia pieniędzy z ich kieszeni za oglądanie tych „dziwów natury“. Nie brakło oczywiście jednostek, zasługujących w całej pełni na to nazwisko, a nie brak ich i dzisiaj. Najczęściej spotykało się dzieci nadzwyczajnie uzdolnione pod względem umysłowym, zatem odznaczające się fenomenalną muzykalnością, niebywałą pojętnością i kombinacyami, wprowadzających w podziw przy grze w szachy lub wykonywaniu najzawilszych rachunków, rzadziej natomiast, o ile wchodzi w grę przedwczesny rozwój sił fizycznych.

A jednak i na tem ostatniem polu nie brak także naprawdę cudownych dzieci, odznaczających się takiem wyrobieniem sił ciała, jakich nie powstydziłby się i dorosły osobnik. Mamy tu na myśli w szczególności dzieci, rozwinięte fizycznie po nad swój wiek, nie pod względem samej budowy ciała, lecz jego sił fizycznych, mieszczących się częstokroć w organiźmie na oko dość niepozornym, a nawet nieraz wątłym.

I tak czytaliśmy niedawno w doniesieniach pism codziennych o cztero-letniej pływaczce Rut Möller, która podczas ostatnich zawodów w Kopenhadze przepłynęła przestrzeń czterdziestu ośmiu metrów, budząc tem ogólny podziw i zbierając zasłużone oklaski.

Pokazuje się jednak, iż nie można tego uważać za jakąś nadzwyczajność, bo oto dowiadujemy się z pism amerykańskich, iż podczas obecnej wystawy w San Francisco popisywała się tamże trzyletnia pływaczka z Astralii, Rhoda Cavill, zdobywając w ten sposób rekord.



Młodociane pływaczki: Rhoda Cavill, trzyletnia pływaczka z Australii, która brała udział w zawodach pływackich w San Francisco.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożyła J. Potocka Sambor.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół, podadzą nazwę jednego z miast w Azyi.

— ola
— aba
— pis
— ola
— ard
— ino
— cet
— oła
— oga
— pal
— ama

Zgłoskówka.

Ułożył Górnoślązak.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę a otrzymamy popularne zdanie, mogące być zastosowanem do sprawy górnośląskiej:

Odwet, agat, sanna, kasza, Radomyśl. Tokaj. szafa, Warszawa.

Grzebieniówka.

Ułożył M. Kalinowski Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda zarządzenie mające na celu poprawę obecnych naszych stosunków aprowizacyjnych.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Jeden z żywiołów, 2. Rzeka na Syberyi, 3. Angielska miara długości, 4 Postać biblijna, 5. Miejsce klimatyczne w Galicyi Wschodniej 6. Drzewo liściaste.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. Ostrowska Kielce.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednego z naszych wysokich urzędników.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Państwo w Europie, 4. Grecki bajkopisarz, 5. Dawna miara długości, 6. Przyimek, 7. Samogłoska.

Figielek arytmetyczny.

Ułożył Archimedes z Klaja.

Liczbę 90 wyrazić za pomocą najmniejszej ilości trójek.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Księgę pamiątkową wielkiej wojny 2) Wnętrze Katedry wawelskiej (druk trójbarwny wedle obrazu prof. Wodzinowskiego).

Rozwiązanie zagadek z Nru 34

Kwadrat magiczny. Meta, Ezaw, tama, Awar.

Zadanie do uzupełnienia: Mara, Arab, dama, Apis, gama, azot, Soła, kora, agat. rota.

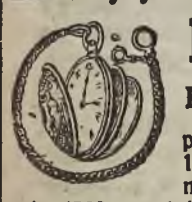
Zagadka literacka Jan z Tenczyna, Ostatni z Siekierzyńskich, Kirgiz, Anhelli, Jamioł.

Logogryf: Kudak, Kreta, Davos, brama, malwa, kreda, barka, krata.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S. Lisowski Zakopane, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol J. Cześnikiewicz Kraków, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów. M. Kubicówna Kraków. S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, O. Niedziałkowska Kraków, R. Mąka Wolanka, T. Ullmann Borysław, W. Śmiszkiewicz Milówka

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Lisowski Zakopane powieść); 2) W. Śmiszkiewicz Milówka (album). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Jedyny najtańszy dom handlowy



IGNACY CYPRES

Kraków, ul. Szewska 13/N.I.

poleca: nikl. syst. Roskopf mk. 1500, Budzik z przedwoj. werklem mk. 2500, Skrzypce ze smyczkiem mk. 4500 i wyżej. Harmonie, wiedeński model jednorzędówka mk. 6000, dwurzędówka mk. 11000 Trąby akordeonowe mk. 1200, 1500. Dyamenty do szkła mk. 800, 1000. Brzytwy mk. 500, 600, 700 Maszynki do włosów mk. 1200, 2000. Maszynki do samogolenia mk. 1500, 2000. Pas do brzytwy mk. 250. Kamień mk. 250. Pudła do skrzypiec mk. 1500, 2500. — Wysyłka za zaliczką — Cennik illustrowany za nadesłaniem 20 mk. przekazem.

Kupuje złoto i srebro.

„HUMOR POLSKI“
Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny
Do nabycia w całej Polsce
Cena egz. 30 Mk.

„BOCIAN“
Dwutygodnik humorystyczny
Do nabycia we wszystkich Ajencyach
Cena egz. 40 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi
Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Charakter. Przyślijcie charakter pisma, zakomunikujcie imię, rok, miesiąc urodzenia, ile osób najbliższej rodziny: otrzymacie od Szyllera-Szkolnika, psycho-grafologa (autora prac naukowych) szczegółową analizę charakteru, określenie ważniejszych zdarzeń życiowych. Odpowiedzi na szczere zapytania Analizę wysyła się po otrzymaniu Mk. 300 Praca naukowa Szyllera Szkolnika zaszczycona mnóstwem odezw, podziękowań. Dla badań osobistych przyjmuje od dwunastej do siódmej. Warszawa, Psycho-Grafolog Szyller-Szkolnik, Piękna 25 12. Wątpiącym dowody bezpłatnie.

!??!

Książki nadzwyczaj ciekawej treści. — Katalog illustrowany darmo wysyła Wydawnictwo „Świt“ Warszawa, Piękna Nr. 25. Na przesyłkę dołączać znaczek pocztowy.

!! Kostiumy Płaszcze !!
Switki
Suknie spacerowe, futra, wierzchy do futer i podszycia futrzane
wykonuje najszykowniej.
Ceny bardzo przystępne.
JÓZEF GAŁĄSKA
Kraków, Floryańska 24. II. p.

Księgarnia Dra Wł Miłkowskiego
(Kraków, Floryańska 1.)

sprzedaje niewielką resztę egzemplarzy następujących dzieł, oddawna wyczerpanych w handlu księgarskim:

Bartoszewicz K. Księga pamiątkowa Konstytucyi 3 maja. 2 tomy. — Cena 60 marek.
Bartoszewicz K. Antysemityzm w Polsce do końca wieku XVII. Cena 120 marek.
Niemcewicz J. U. Powieści poetyczne. — Cena 24 mk
Rutowski Tadeusz. W sprawie przemysłu krajowego. — Cena 48 marek.
Rutowski Tadeusz. Przemysł cukrowniczy, jego wpływ na rolnictwo. Cena 35 marek.
Minister **Floryan Ziemiałkowski.** (Kartka z dziejów Galicyi, z portretem). — Cena 24 marek.

Drukarnia D E. FRIEDLEINA
Nowości Illustrowane
poszukuje ucznia z ukończoną II kl. gimn. lub realną (3 wydz.)
do praktyki w dziale maszyn.

W Administracyi Nowości Illustrowanych
jest do nabycia
Księga pamiątkowa wielkiej wojny.
(Kalendarz z 1914-15-16 roku).
Cena 50 Marek polskich.

KOŁDRY
puchowe na wełnie i wacie.
Materace włosienne i powijacze dla niemowląt. Poduszki i pierze gęsie
poleca
JEDYNA KATOL. PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH
M. MATUSIEWICZ, KRAKÓW, UL. POSELSKA 20.

Album Legionów Polskich
Zeszyt I.
Cena 40 marek
Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“

„ANTONINA“ Pracownia kapeluszy damskich Kraków, ul. Floryańska L. 13 I. p. oficyny.
Sprzedaż: Kraków, ul. Floryańska L. 14., Hotel „pod Różą“ sklep p. J. Nowaka,
poleca na obecny sezon kapelusze w wielkim wyborze po umiarkowanych cenach.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.